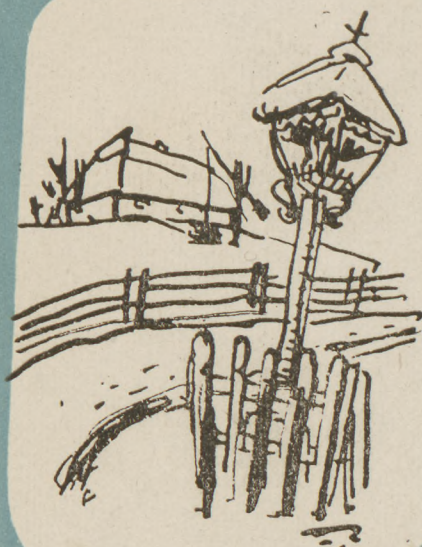


Eryk Zieliński

Na szlaku

KRESOWEJ



NR 2-3 ◊ (31-32)

Rzym • Luty • marzec • 1946

Na szlaku Kresowej

Numer 2-3 (31-32)

K r e s o w a D y w i z j a P i e c h o t y
W ł o c h y • L u t y - M a r z e c • 1 9 4 6

K 126/44
1971



Redaktor: *Witold Zahorski*

Adres Redakcji: C. M. F. Polish Forces 62

Drukarnia Poliglotta C. di M. - Via Bonchi Vecchi, 12
Roma

Wskazania

„Na szlaku Kresowej” było pierwszym pismem w 2 Korpusie, które podając (w czerwcu roku ubiegłego) tekst uchwał Rady Jedności Narodowej z 15. VIII. 1944 roku w znacznej mierze przyczyniło się do usunięcia wątpliwości, że postępowy program społeczny w Kraju nie jest już własnością tego czy innego ugrupowania politycznego, ale stał się własnością całego Narodu. Stał się on zarazem w walce z moskiewskim okupantem jeszcze jedną bronią społeczeństwa polskiego. Społeczeństwo polskie wie, że wschodni totalizm jest w istocie najbardziej reakcyjnym ustrojem społecznym, zamieniającym człowieka w niewolnika. Społeczeństwo polskie wie, że do realizacji zasad pełnej sprawiedliwości społecznej dojrzało samo, ma swój własny, poważny, przemyślany program społeczny, którego realizacji obca okupacja nie pomaga, lecz przeszkadza.

Redakcja „Na szlaku Kresowej” pragnie zwrócić obecnie uwagę swych czytelników szczególnie na podkreślenie przez Radę Jedności Narodowej „Związku Narodów Europy Środkowej”, a więc realizacji idei Międzymorza — jako jednego z punktów polskiego programu politycznego.

Rozwiązanie Rady Jedności Narodowej nie oznaczało i nie oznacza zaprzestania walki Narodu Polskiego o swe własne niepodległe państwo i całość jego terytorium. Pozostał Rząd R. P. jako naczelne kierownictwo naszego państwa, naszej walki. Rada Jedności Narodowej, rozwiązując się, zebrała w ostatniej uchwale wytyczne polskiego programu społecznego i politycznego, które leżały u podstaw jej działalności i kształtowały polskie działania polityczne w Kraju w latach drugiej wojny światowej.

Gdy te wytyczne porównamy dziś z zasadami, w imię których pozostaliśmy na uchodźstwie, by tu nadal walkę o niepodległość państwa polskiego prowadzić, to zobaczymy, że to są te same prawdy polskiej walki, z których nie wolno opuścić żadnej, ani „nienaruszalności granicy wschodniej”, ani „związku narodów Europy Środkowej”, ani żadnej innej.

Po to właśnie dziś cytujemy uchwały Rady Jedności Narodowej, by stwierdzić raz jeszcze, że nie tylko słusznej bronimy sprawę w obozie Polski walczącej na obczyźnie, ale — że zgodni jesteśmy z tym, co w Kraju jest prawdziwie polskie, niepodległościowe i demokratyczne i z każdą uznaną przez Kraj zasadą, której nie przestania taktyka czy fałsz, narzucały przez obcych.

Oczywiście, za wyraz woli Kraju nie uważamy i uważać nie możemy żadnych fałszyfikatów narzucanych Krajowi przez obcą siłę, czy podstęp — w tej liczbie i „rządu” z woli obcych nam narzucanego i „wyborów” przez ten „rząd” przeprowadzonych.

W Deklaracji Krajowej Reprezentacji Politycznej z dnia 15. VIII. 1943 oraz w Deklaracji Rady Jedności Narodowej z dnia 15. III. 1944 sformułowany został program Polski Walczącej, którego naczelnne postulaty są:

1. Odzyskanie niezależności i suwerenności;
2. Swobody demokratyczne;
3. Reforma rolna;
4. Poprawa bytu mas pracujących i udział ich w rządach;
5. Samorząd terytorialny, gospodarczy i kulturalny;
6. Odzyskanie ziem na Zachodzie;
7. Nienaruszalność granicy wschodniej;
8. Związek narodów Europy Środkowej;
9. Sojusz z demokracjami Zachodu i dobre stosunki z ZSRR;
10. Prawdziwa demokracja międzynarodowa.

Walka trwa

Wojna z Niemcami, którą prowadziliśmy najdłużej ze wszystkich Sprzymierzonych, została zwycięsko zakończona. Walka o Niepodległość Polski trwa nadal, bo cel jej jeszcze nie został osiągnięty. I trwać będzie aż do zwycięstwa, niezależnie od warunków, w jakich się będzie toczyła! Prowadzimy ją teraz nie na polach bitew, lecz na płaszczyźnie politycznej. Na tej bowiem płaszczyźnie odbywa się obecnie wielka gra międzynarodowych sił politycznych. Wstępują w niej agresywny imperializm totalistyczny i ustepliwe — jak dotychczas — w swej pozycji obronnej demokracje. Poprzez sfery wpływów rzecz idzie o hegemonię nad światem, o supremację totalizmu nad wolnością demokracji.

Gdy ujawniła się brutalna zaborczość niemiecka, Polska nie poszła po linii Monachium, lecz zbrojnym szlakiem Westerplatte — Warszawa. Na szlak ten po nas i za naszym przykładem wstąpili inni, bo był on jedynie słuszny i doprowadził do zwycięstwa. Gdy odłonił swe oblicze imperializm sowiecki, Polska nie poszła po linii Jałty, lecz trwa nadal na szlaku Wolności. Bo szlak ten jest słuszny i jasny. Za nami i tym razem pójsz musi i inni. Im później to nastąpi, tym dłuższa i twardsza będzie droga do zwycięstwa. Na szlaku tym nie jesteśmy sami. Wstępują już nań te narody, które bezpośrednio odczuły dławiący ciężar nominalnej niepodległości maskującej faktyczną niewolę. Nie uchroni od tej drogi wielkich demokracji ich cierpliwa ustepliwość, bo i ona posiada kres swej wytrzymałości i granice zakreślone własnym integralizmem interesów.

Walka polityczna na terenie międzynarodowym nie jest łatwa. Dla Polski i Polaków w sytuacji obecnej jest ciężka i wymagająca wielkiego wysiłku zbiorowego. Inne są bowiem jej metody i środki niż walki prowadzonej na polu bitwy. Tam siła broni i postawa żołnierza decydują i raz po raz dają widoczne efekty lokalnych zwycięstw. Żołnierz bezpośrednio widzi wyniki swego wysiłku. Rezultaty działania w walce politycznej bywają przez długi czas niewidoczne, dopiero w końcowej jej fazie są wyraźnie dostrzegalne. Wyniki akcji znajdują swe odbicie w termometrze nastrojów i zmian w międzynarodowym układzie politycznym, starannie osłanianym kurtyną tajemnic dyplomatycznych przed oczyma ogółu. Stąd może rodzić się błędne mniemanie, że akcja nie jest owocna. Dlatego też w walce politycznej konieczny jest hart ducha, wytrwałość na zajętych stanowisku i nie poddawanie się zwątpieniom pod wpływem przeciwności zewnętrznych i pozornego braku efektów własnego działania.

Doświadczenia minionej wojny i jej konsekwencje wskazują aż nadto wyraźnie, że w polityce międzynarodowej zadominował realizm własnego interesu, a nie hasła idealizmu. Z rzeczywistości tej należy wyciągać praktyczne wnioski. W kalkulacjach naszej dalszej walki o Niepodległość opierać się musimy również na racjonalizm, a nie tylko na uczuciowość. Zbyt silny poprzednio emocjonalizm w liczeniu na naszych zachodnich sojuszników pogłębił gorzkość zawodu. Protokół jałtański pogrążył we wstydlivej niepamięci tyle w nas

wiary budzącą Kartę Atlantycką i cztery wolności Roosevelta.

Trzeźwy rachunek i polska racja stanu wskazują, że Niepodległość przyjdzie do Polski z Zachodu — nigdy ze Wschodu. Przyjdzie, ale nie jako „dar z łaski” cudzej, lecz jako rezultat naszej walki. Prowadzić ją możemy tylko w obozie wolności i demokracji. Takie stanowisko nakazuje nie sentyment, lecz interes Polski. Nawet gdyby względy czasowej koniunktury czyniły z nas niepożądanego, bo kłopotliwego dla Anglosasów uczestnika — my w tym obozie pozostaniemy. I nie pozwolimy się z niego wypchnąć.

Walka o Niepodległość trwa. Kraj jest w niewoli, główny ciężar walki spada na Wolnych Polaków za granicą. Kraj w trudnych warunkach terroru prowadzić może tylko walkę o zachowanie bytu narodowego. Walkę polityczną o niepodległość państwową prowadzić dziś mogą i muszą Polacy za granicą. Kraj tego od nich oczekuje, spodziewa się, żąda. Z walki tej kraj czerpie siły i wiarę. Umacnia swą postawę oporu wobec okupanta. Utrwala swą nadzieję Niepodległości.

Proces niewolenia i sowietyzacji Kraju postępuje i rozwijać się będzie systematycznie w myśl wypróbowanych wzorów rosyjskich, wymagających również stosowania manewrów maskujących dla zmylenia pozorów i osłabienia czujności. Nie należy też poddawać się przesadnym złudzeniom odnośnie zapowiadanych wyborów w Polsce. Żaden ich wynik nie wpłynie na zasadniczą zmianę: Niepodległości bowiem nie zdobywa się kartką wyborczą.

Od siły obozu niepodległościowego za granicą zależy skuteczność prowadzonej walki. Elementy składowe tej siły stanowią: a) jasny, wszechstronny i dalekosiężny plan działania, b) dynamiczny i sprawny centralny ośrodek dyspozycji politycznej, c) formy organizacyjne, postawa wewnętrzna i liczebność Polaków tworzących obóz niepodległościowy. Pod względem politycznym obóz niepodległościowy musi posiadać wyraźny charakter demokratyczny. Od tego zależy utrzymanie mocnej więzi ideowej z masami ludowymi Kraju i dostosowanie się do świadomych przemian, jakie w nim zaszły w okresie wojny w kierunku dążeń do przebudowy społecznej. Od tego zależy bliskość i skuteczność współpracy z międzynarodowymi siłami postępu, dla których wolność i demokracja posiadają swój istotny sens. Taką również linię polityczną dyktuje wiara w głęboką i twórczą treść społeczną, polityczną i gospodarczą prawdziwej demokracji.

Liczebność Polaków pozostających za granicą wyraża siłę protestu przeciwko istniejącej i międzynarodowo obecnie uznawanej rzeczywistości w Polsce. Masa polska na Zachodzie utrudnia Anglosasom całkowite przekreślenie swych dawnych wobec Polski publicznie zaciągniętych zobowiązań. Stanowi również czynnik stałego ostrzeżenia demokracji zachodnich przed szkodliwością i bezskutecznością ustępstw wobec imperializmu sowieckiego, uznającego zobowiązania międzynarodowe do momentu potrzebnego dla własnych interesów. Liczebność obozu niepodległościowego mobilizuje aktywność wolnościową narodów zwalczanych przez Rosję i umożliwia utrzymanie szerokiego frontu walki. Dlatego właśnie Rosja wszelkimi sposobami stara się zdemobilizować liczebnie polski obóz niepodległościowy. Dlatego i Anglosasi idą po tej linii, pragnąc w obecnej fazie swej ustępliwości do minimalnych granic zredukować problem polski. Interes zaś polski wymaga, aby ilość Polaków za granicą była jak największa.

Postawa Wolnych Polaków za granicą — to postawa bojowa, postawa walczącego żołnierza Niepodległości. Obowiązuje ona wszystkich, zarówno wojskowych, jak i cywilnych. Nie chodzi bowiem o „przetrawanie” za granicą, chodzi o świadomą walkę. „Przetrawanie” — to droga do kapitulacji psychicznej, do wycofania się z frontu walki. Zapobiegliwość o własne wygodnictwo materialne, o zabezpieczenie sobie beztroskiego bytowania emigranckiego jest samorozbrajaniem się psychicznym i prowadzi nieuchronnie do zubożenia wobec zadań ogólnych. Ofiarnością, wytrwałością i odpornością wobec przeciwności mierzyć trzeba wartość bojownika Niepodległości. Nie troska o sprawy osobiste, lecz walka o Niepodległość musi być motorem dynamizującym energię i wysiłek Wolnych Polaków za granicą.

Każdy Polak za granicą musi mieć pełną świadomość tego, że mimo pozornie biertnej swej roli, w rzeczywistości walczy o Polskę. Tkwi na linii frontu, a zamiast pocisków nękających żołnierza w boju, będą go gnębić warunki bytowania materialnego, utrudnienia administracyjne itd. Dobry żołnierz zawsze wytrzyma ogień nękający i potrafi znaleźć sposoby samoobrony, zmniejszające jego skuteczność. Formy społecznego organizowania się są jednym z ważniejszych środków takiej samoobrony Polaków za granicą, a nadto mobilizują one siłę zbiorową do atakowania opinii międzynarodowej w sprawie polskiej. Zorganizowana więc społeczna Wolnych Polaków za granicą pozwoli również na podjęcie prac

w wielu dziedzinach, które nie tylko pomnożą wartość społeczności polskiej za granicą, lecz pozwolą jej wrócić do Wolnej Polski z cennym wkładem osiągniętego dorobku. Negatywna bierność trwania za granicą musi ustąpić miejsca programowi pozytywnego działania opartego o założenia ofensywne.

Klucz do zwycięstwa leży w duszy każdego żołnierza. Jego postawa psychiczna, napięcie woli i świadomość celu, wysiłku i własnej ofiary decydują o wyniku boju. Zasada ta w pełni obowiązuje w warunkach walki politycznej. Powszechnie znane jest zjawisko tzw. kryzysów walki, kiedy pod naporem ciężkich ciosów zewnętrznych szale klęski i zwycięstwa dochodzą do poziomu równowagi. W jedną lub drugą stronę przechyla szalę postawa duchowa walczących. W warunkach prowadzonej przez nas dziś walki o Niepodległość kryzysy takie mogą stawać przed nami niejednokrotnie. Nie będą dla nas groźne, jeśli wewnętrznie będziemy przeciwko nim uodpornieni. Da to możliwość nie tylko

bierniej obrony, lecz także ofensywego przeciwdziałania.

Możność i swobodę czynnego działania na rzecz Niepodległości ma Polak w sytuacji dzisiejszej tylko za granicą. Jeśli z tego terenu wycofuje się, — opuszcza pole walki. I przekreśla w ten sposób we własnym sumieniu wieloletni, krwawy dorobek wojenny Kraju, przekreśla ofiarę krwi żołnierza spod Narviku, Tobruku, Monte Cassino, Falaise, przekreśla męczeństwo polskie w niemieckich obozach koncentracyjnych i w sowieckich „łagrach”. Śmierć, krew i cierpienia milionów Polaków były ceną za odzyskanie Niepodległości. Ten wielki wkład obowiązuje i nakazuje żyjącym obronę jego wartości i dalszą walkę, której kresem może być tylko Niepodległość.

Nie ma bowiem takiej ceny, za którą Polak mógłby się wyrzec Niepodległości i nie ma takiej ofiary, której nie jest gotów dla Niej ponieść. Walka trwa, lecz nasze będzie w niej zwycięstwo.

Władysław Natęcz

Poprzez dymne zastłony

Dyktatorem gospodarczym administracji warszawskiej jest Hilary Minc, który obok sprawowanych funkcji „ministra” przemysłu faktycznie wywiera również decydujący wpływ na politykę handlową i skarbową Polski okupowanej. Minc jest realizatorem wzorów gospodarki sowieckiej, którą wprowadza w Polsce na wielu odcinkach stopniowo i w sposób elastyczny, co podyktowane jest ostrożnością przed zbyt brutalnym i wyraźnym ujawnieniem istotnych jego planów.

Cel ich jest dwojaki. Pierwszy zmierza do uniesamodzielnienia ekonomicznego Polski i uzależnienia Jej i ścisłego powiązania z systemem gospodarczym Rosji. Drugi ma charakter polityczny i dąży do powszechnej pauperyzacji społeczeństwa i wzbudzenia w nim antagonizmów klasowych, co w rezultacie anemizuje siłę i jedność narodu a w konsekwencji niweczy jego zdolność oporu i ułatwia opanowanie polityczne.

W lutym 1945 r. w programowym tygodniku P. P. R. „Trybuna Wolności”, w pierwszym okresie okupacji sowieckiej, Minc opublikował dość szczerze swe programowe tezy gospodarcze. Przewodnim ich motywem było generalne upaństwowienie życia gospodarczego, inicjatywa prywatna miała być przejściowo tolerowana i to w

wąskim zakresie działania. Panujący jednak wówczas chaos administracyjny i zastój gospodarczy zmusił Minc'a do odłożenia realizacji swych zamiarów i do zastosowania małego „nepu”. Dopuszczono szeroko inicjatywę prywatną, tolerowano powstawanie nowych lub regenerowanie się dawnych przedsiębiorstw prywatnych typu średniego a nawet i większych. Z punktu widzenia gospodarczego dało to wyniki pozytywne. Inicjatywa prywatna dokonała tego, czego nie byłby w stanie osiągnąć aparat państwowy, nie dysponujący nadto odpowiednim doбором ludzi.

Dopiero na jesieni Minc zaczął „przekręcanie śruby” państwowej. Cały szereg zakładów przemysłowych uruchomionych i wyremontowanych dzięki inicjatywie prywatnej zaczęło z dnia na dzień bez podstaw ustawowych przejmować pod zarządek państwowy. Ten stan faktyczny został usankcjonowany dopiero 3 stycznia br. „ustawą” K. R. N. o nacjonalizacji przemysłu kluczowego, do którego zaliczono również drukarnie, młyny, olejarnie, fabryki drożdży. Aby zaś ochronić się dymną zastłoną przed zarzutem wywłaszczania, wprowadzono w „ustawie” wypłacalność odszkodowania. Na fikcyjność jego wskazuje nie tylko sposób ustalania wysokości i terminu wypłaty, lecz przede wszystkim „praktyka

warszawska" uwidoczniła na tle wypłat tym wyłączeniem właścicielom ziemskim, którym ustawowo przysługuje odszkodowanie pieniężne, ustalone w kwotach symbolicznych i faktycznie nie wypłacane. Curiosum uchwały K. R. N. stanowi przepis dopuszczający przekazywanie upaństwowionych zakładów przemysłowych partiom politycznym. Zamiast kapitalisty prywatnego zyski z takiego przedsiębiorstwa ciągnąć będzie partia na swe potrzeby, a nadto w ten sposób uzyskuje mechaniczne zapewnienie bazy swych wpływów w danym zakładzie pracy. Taka asekuracja jest szczególnie ważna dla P. P. R., ponoszącego powszechnie porażki przy wyborach do rad zakładowych. Obecnie w fabrykach objętych przez P. P. R. ilość członków tej partii automatycznie wzrosła do 100%.

Jak widać uchwała K. R. N. wprowadza w Polsce sowiecką zasadę kapitalizmu państwowego. Podkreślić tu należy, że program przebudowy społeczno-gospodarczej Polski uchwalony przez Radę Jedności Narodowej w 1944 r. w Warszawie przewidywał uspołecznienie zakładów przemysłowych i opowiadał się przeciwko kapitalizmowi państwowemu, zarówno ze względów gospodarczych jak i społecznych (faktyczna niewola pracowników).

Równocześnie z nacjonalizacją K. R. N. powzięła uchwałę o popieraniu prywatnej inicjatywy w przemyśle i handlu. Taktyczny i przesłonowy charakter tej uchwały jest zupełnie wyraźny na tle rzeczywistości polskiej i w świetle wynurzeń programowych Minca z lutego 1945 r. Ma ona stworzyć pozory wolności indywidualnej w handlu i przemyśle, którym jaskrawo przeczy rzeczywistość. Wprawdzie ustawowo istnieje nadal handel prywatny, lecz w praktyce stosuje się obfitą skalę środków dążących do jego redukcji i likwidacji. Najskuteczniejszym z tych środków jest śruba podatkowa.

Wygórowany wymiar podatków stosowany jest przez urzędy skarbowe wobec prywatnych przedsiębiorstw przemysłowych, handlowych i rzemieślniczych w myśl instrukcji idących z góry z wyraźną intencją materialnego wydrębowania własności prywatnej. Podatnik jest bezsilny, nałożony wymiar podatku musi być, pod grozą egzekucji, wpłacony. Przysługujące podatnikowi prawo odwołania się od wymiaru (po dokonaniu wpłaty) jest bez znaczenia, gdyż przewidziane przez ordynację podatkową komisje odwoławcze przy Izbach Skarbowych nie istnieją.

Poza wysoką stopą podatków bieżących ściga się po raz drugi podatek za okres ubiegły. Dotyczy to w szczególności po-

datku obrotowego i dochodowego za rok 1943 i 1944, który został już w swoim czasie ściągnięty i to w sposób rygorystyczny przez okupacyjne władze niemieckie. Na podstawie „dekretu” P. K. W. N. z 1944 r. o podatku od zysku wojennego urzędy skarbowe ściągają od podatników dodatkowo po 100% uiszczanego w latach 1943 i 1944 podatku obrotowego i po 50% podatku dochodowego za każdy wymieniony rok.

Klasycznym dowodem tendencji Minca do osłabienia samodzielności gospodarczej Polski i związania Jej z Rosją jest umowa handlowa polsko-sowiecka, godząca najistotniej w interesy Polski. Praktycznie wyznacza ona niemal całkowicie kierunek importu i eksportu polskiego na Rosję.

Umowa ta przewiduje między innymi dostawę przez Polskę 15 milionów ton węgla rocznie dla Rosji. Dostawy te idą w pierwszej kolejności — przed pokryciem wewnętrznego zapotrzebowania Polski. Węgiel kosztujący w wolnym handlu 400 zł. za tonę na Śląsku, w Warszawie kosztuje 8-10.000 zł., a w poznańskim i na Pomorzu jeszcze drożej. Brak węgla odczuwa nie tylko ludność cywilna, lecz i instytucje państwowe, bo jak stwierdza „Rzeczpospolita” (organ „rządowy”) z dn. 6 stycznia br. z braku opatu zamknęło w woj. poznańskim kilka szpitali, a kilku innym to grozi lada chwila. Ma to specjalną wymowę, jeśli się zważy, jak duże są braki szpitalnictwa w Polsce i jak wielki jest brak pomieszczeń dla chorych.

Prasa „warszawska” podaje również, że cały szereg budynków szkolnych na wybrzeżu stoi pustką z powodu braku opatu, który także przyczynia się do przerywania nauki w licznych szkołach w innych dzielnicach Kraju. Ale transporty z węglem polskim idą do Rosji nieprzerwanie. Hilary Minc „polski” minister przemysłu, dotrzymuje ściśle umowy zawartej ze swym mocodawcą — Rosją.

Umowa ta posiada swoje kulisy. Oto według oficjalnych, lecz — rzecz jasna — nieujawnionych danych Ministerstwa Przemysłu, do każdej tony węgla eksportowanej do Rosji Polska dopłaca 317 zł., a do każdej tony koksu 375 zł. Dla pokrycia tego deficytu istnieje w Ministerstwie Przemysłu specjalny, tzw. „fundusz wyrównawczy”, który w r. 1945 wynosił 1 miliard zł. Jest to zrozumiałe, jeśli się zważy, że umowa polsko-rosyjska ma charakter kompensacyjny w ramach wzajemnej wymiany towarowej, przy czym za pieniądź przeliczeniowy przyjęto złoty w złocie w przeliczeniu na dolary, ustalający

równowartość dolara na 3,50 zł., podczas gdy kurs urzędowy dolara wynosi 100 zł., a czarna giełda już w listopadzie 1945 r. płaćła powyżej 330 zł. za dolara.

W myśl tej umowy liczne gałęzie polskiego przemysłu przetwórczego nastawione są na pokrywanie zapotrzebowania Rosji i tak np. przemysł włókienniczy Łodzi w 90% eksportuje swe wyroby do Rosji. Nieregularnie i powoli dostarczane przez Rosję surowce (w myśl zasady kompensacji towarowej) są pośledniego gatunku. Bawełna jest tak nisko wartościowa, że większość maszyn łódzkich, przystosowanych do dobrego surowca, nie jest w stanie jej przerobić. Dostarczana przemysłowi hutniczemu ruda sowiecka wykazuje swą niską procentowość, w niektórych wypadkach stwierdzono otrzymanie transportów rudy już raz wytopionej.

Wobec zastoju gospodarczego Polski jedynym poważnym jej artykułem eksportowym, umożliwiającym otrzymanie najpotrzebniejszych dostaw zagranicznych jest węgiel. Zobowiązanie wobec Rosji dostawy 15 milionów ton rącznie oraz nadto zaopatrzenia w węgiel wojsk sowieckich w Polsce i w okupowanych Niemczech, praktycznie uniemożliwia eksport polskiego węgla do krajów, od których można by otrzymać w zamian pełnowartościowe i niezbędne dla odbudowy artykuły. Administracja warszawska nie może dotrzymać umów na dostawy węgla z państwami skandynawskimi i wbrew zobowiązaniom dostarczono Szwecji zaledwie 137.444 ton, Norwegii — 3.844 ton, Danii — 3.662 ton. Praktycznie biorąc wymiana handlowa Polski z innymi państwami (poza Rosją) jest sprowadzona do wymiaru symbolicznego i pozbawiona znaczenia gospodarczego. Zgodnie bowiem z tezą Minca Polska jest skazana na ścisły związek gospodarczy z Rosją i podporządkowana w tym względzie jej interesom.

Środkiem do systematycznej pauperyzacji społeczeństwa są niskie stawki oficjalnych uposażeń, minimalne przydziały kartkowe po cenach urzędowych i tolerowanie wolnego handlu operującego cenami niekontrolowanymi i niewspółmiernie wysokimi w stosunku do urzędowych zarobków. Przeciwnie nikt w Polsce z pensji i urzędowych przydziałów nie może żyć. Wyjątek od tej zasady stanowią najwyższe w hierarchii urzędy obsadzone pewnymi i „swoimi” ludźmi, których sytuacja materialna jest celowo uprzywilejowana. Urzędnicy w ministerstwach otrzymują przydziały żywnościowe, których wartość rynkowa równa się

trzykrotnej wysokości ich pensji. Ci mogą żyć.

Przeciwko temu podnoszą się jednak masowe głosy protestu, których niejednokrotnie nie jest w stanie zakneblować oficjalna cenzura, czego dowodem jest jedna z uchwał wiecu, zwołanego w dniu 10 lutego br. przez tzw. Warszawską Radę Związków Zawodowych, żądająca „zlikwidowania niesprawiedliwych przerostów w wydawaniu uprzywilejowanych deputatów żywnościowych”.

Gdy poszczególne zakłady pracy (przed nacjonalizacją) dążyły do podniesienia wynagrodzenia robotników, urzędowe zarządzenie zabroniło przekraczania maksymalnych stawek, które dla robotników wykwalifikowanych ustalono na 5,50 zł. za godzinę. W zestawieniu z cenami rynkowymi (najtańszy papieros 2 zł, gazeta 2 zł, przejazd tramwajem 2 zł, pudełko zapalek 6 do 8 zł) wartość nabywca zarobków nawet wykwalifikowanego robotnika jest minimalna i nie zaspakajająca choćby najskromniejszych potrzeb rodziny robotniczej. Nie wpływa na tę sytuację fakt, że robotnik w zakładzie pracy dostaje jednodaniowy posiłek, tzw. „zupkę” i co pewien czas niewielki deputat żywnościowy. Tajemnica utrzymania rodziny robotniczej tkwi w zarobkach ubocznych i nie zawsze legalnych jak np. handel pokątny i tzw. szmugiel, w nadużyciach polegających na sprzedawaniu cichaczem wyrobów lub surowców fabrycznych itp.

Przeciętne uposażenie urzędnika waha się w granicach 1.000-1.500 zł. miesięcznie plus nieznaczny deputat żywnościowy. W niektórych urzędach i instytucjach zorganizowane są południowe „zupki”, aczkolwiek nie jest to powszechna reguła. Środkami zaradczymi inteligenta pracującego przeciw biedzie są: handel, wyprzedaż własnych nieruchomości (tym się tłumaczy duża ilość sklepów komisowych). Wśród ludzi nieuczciwych rozpowszechnia się ponadto łapownictwo w rozmaitych postaciach lub pokątne, a związane ze stanowiącym urzędowym „interesem”.

Chłopa obciążają kontyngenty, efektywnie obecnie nazywane „świadczaniami rzeczowymi”. O wysokości ich wymiaru świadczą najlepiej fakt, że np. w zniszczonym działaniami wojennymi woj. łódzkim wieś do stycznia br. dostarczyła zaledwie 40% wyznaczonych kontyngentów.

Uchwalony na jesieni ub. roku dekret o przymusie pracy i państwowych urzędach zatrudnienia, wzorowany zresztą na systemie sowieckim, wskazuje wyraźnie na tendencję uzależnienia jak największej części społeczeństwa od państwa jako



(Rys. M. Kościalkowski)

pracodawcy i zmuszenia jej do kontentowania się niskimi zarobkami, wypłacanymi przez państwo. Aczkolwiek dekret ten nie jest jeszcze w pełni rygorystycznie stosowany, to jednak wyraża kierunek rozwojowej tendencji administracji warszawskiej. Dodać należy, że popularny obecnie nielegalny handel jest zjawiskiem przejściowym i koniunkturalnym, który zacznie zanikać w miarę opanowywania sytuacji wewnętrznej przez administrację.

Planowym pociągnięciom gospodarczym Hilarego Minca, zmierzającym do ogólnej pauperyzacji, towarzyszy równocześnie prowadzona akcja zmierzająca do wzbudzenia w społeczeństwie wewnętrznych rozdźwięków według linii podziału klasowego. Chłopa i robotnika nastawia się wrogo wobec inteligencji jako siedliska reakcji i faszyzmu. Takie wydarzenia, jak sprowokowane i celowo przejawione lipcowe zajęcia antyżydowskie w Krakowie, lub manifestacyjny pogrzeb zamordowanej przed kilku tygodniami w Łodzi studentki (Marii Tyrankiewicz), wykorzystywane są szeroko do atakowania profesorów i studentów jako reakcjonistów. Czołowy przedstawiciel P. P. R. płk. Ochab zarzuca Związkowi Nauczycielstwa Polskiego reakcyjność w

wystąpieniach na zjeździe w Bytomiu i jako wyraziciel opinii robotniczej oskarża P. S. L. o wystąpienia antypaństwowe i godzące w demokrację.

Sowiecki wzór przeciwstawienia robotników chłopom znalazł już raz zastosowanie na wiosnę 1945 r., kiedy to wysyłano z miast „brygady robotnicze” na wieś dla ściągnięcia dodatkowo wymierzonych kontyngentów. Wzór ten jest nadal aktualny, o czym świadczy uchwała wspomnianego wyżej wiecu Warszawskiej Rady Zw. Zawodowych (kierowanych przez P. P. R.) zapowiadająca, że „brygady robotnicze pomogą chłopstwu w pełni zrealizować swoje obowiązki wobec państwa”. Nie ulega wątpliwości, w jakim stopniu ta „pomoc” w ściąganiu kontyngentów przyczyni się do zaciśnięcia oficjalnie deklarowanego sojuszu chłopsko-robotniczego.

Narzucane Polsce w oparciu o siłę obcą przemiany gospodarcze mają jednocześnie swój sens polityczny. I pod względem politycznym sprzeczne są z polskimi planami przebudowy społeczno-gospodarczej, służą Rosji, a godzą w Polskę.

Tadeusz Krawczyk

Piosenka warszawskich krzyżowców

Już na cztery strony świata
leci piosenka jak ten płak,
rozpoczyna się krucjata,
szukaj bracie, gdzie twój znak;
ale pośpiech to rzecz brzydka:
wolno przywiż miecz i kask,
jak Ariadny złota nitka
wiedzie nas odwieczny blask;

Refren.

z Kazańskich Bram
i z Ostrych Bram
i z Częstochowy świeci nam
i z Notre Dame

zabłyśnie nam
i pierzchnie wlewy mrok i łam.

* * *
Droga już nam niedaleka,
chwata temu, kto w niej padł,
spójrzaj tylko w twarz człowieka,
a zobaczysz świat i świat.
Świat jak światło się ramieni,
jasnogórski bije dzwon,
wędrujemy bezimienni,
z naszych imion dla Niej tron;

Refren.

K. I. Gałczyński

Separatyzm azerbejdżański

Błędem byłoby przypuszczenie, iż Persja jest państwem jednolitego narodu perskiego. Jak większość krajów Środkowego Wschodu obszary jej są zamieszkałe przez różnobarwną mozaikę plemion, grup językowych, sekt religijnych a nawet narodowości. Mieszkańcami rozległych połaci Iranu są nie tylko Persowie ale także Turcy, Turkomanie, Kurdowie, Lurowie, Arabowie, Balucy i inne ludy mówiące rozmaitymi językami, posiadające różne obyczaje oraz typ zarówno fizyczny jak duchowy. Niektóre z tych ludów i plemion żyją — i żyły zawsze — niejako na marginesie państwa perskiego, z konieczności tylko uznające i akceptujące egzystencję rządu centralnego, o ile tylko był on w stanie siłą narzucić swój autorytet na tereny pustyń lub gór przez nie zamieszkałych. Inne znów, mimo wszelkich różnic jakie je dzieliły od Persów prawdziwych, brały czynny udział w życiu politycznym kraju i nieraz stanowiły o potędze Persji. Nie była ona zresztą nigdy państwem narodowym. Węzłami spajającymi mozaikowe człony jej struktury były nie wspólnota języka ani też pochodzenia, ale religia oraz idea państwowości perskiej — obie jednocześnie lub jedna z nich tylko. Należy pamiętać o tym, że dynastia Safawidów, twórców wielkiego państwa perskiego w XVI wieku, zdobyła swe dziedzictwo jedynie dzięki pomocy pociętu tureckich plemion szyickich, wspólnie zwanych Kizilbasz. Nadir Sach, jeden z najznakomitszych władców Iranu był Turkiem, podobnie jak panujący do niedawna Koczowie, których znów poprzednicy, dynastia Zand, wywodzili się z plemion kurdyjskich. Liczne inne ludy, nawet koczownicze czy też pół-

koczownicze jak Bachtari albo Kaszgai, wprawdzie nie dały Iranowi władców, ale nieraz odegrały bardzo wybitną rolę w jego losach. Wiele z nich cieszyło się wprawdzie niemal całkowitą niezależnością od władzy królewskiej i tej swobody broniło nieraz siłą, ale nie miało to wcale charakteru jakiegokolwiek separatyzmu narodowego, a tylko było objawem właściwego wszystkim góralom lub koczownikom z pustyni zamilowania do wolności i samowoli.

Separatyzm w sensie narodowym istniał w Iranie tylko w paru punktach kraju a przede wszystkim w Kurdystanie oraz w Chuzistanie. Datują się zresztą także od niedawnych stosunkowo czasów, bo od pierwszej Wielkiej Wojny.

Riza Sach był pierwszym władcą, który zapragnął uczynić z Iranu państwo jednolite narodowo dla podkreślenia czego przybrał przydomek Pahlawi. Ostrze jego polityki było skierowane przeciwko systemowi szczepowemu i egzystencji rozmaitych lokalnych kacyków, sprzeciwiających się penetracji rządu centralnego na im podległe obszary. Zamiary swe Riza Sach w znacznej mierze zrealizował, choć bowiem nie zdołał z Iranu uczynić państwa narodowo jednolitego, zniszczył jednakże władzę lokalnych książątek i uczynił rząd teherański jedynym rzeczywistym i bezspornym panem całego kraju. Z chwilą więc jego upadku, można było oczekiwać, że pamiętające swą dawną wolność i potęgę plemiona skorzystają z każdej okazji aby ją odzyskać. Istotnie też w latach 1942-43 rząd perski miał poważne trudności z poskromieniem powstań Kurdów w okolicy Bana, Bachtarów, Boir Ahmedich, Kaszgałów i

Kuhgala w rejonie Isfahanu i Szirazu oraz z ruchem Arabów w Chuzistanie, nie mówiąc o pomniejszych rozbójniczych raidach w Luristanie lub Beludżystanie. Podobne zamieszki miały miejsce w całej właściwie Persji, o ile jednak Anglicy na terenach swej okupacji nie czynili nic co mogłoby przeszkodzić rządowi teherańskiemu w przywróceniu normalnych stosunków, a nawet w krytycznych momentach udzielali mu pomocy, o tyle Rosjanie na terytorium zajętym przez siebie, korzystali z tego jak mogli, by działalność władz perskich sparaliżować i zdyskredytować, zmierzając najwidoczniej do rozłożenia wewnętrznego państwa irańskiego przy czym posługiwano się rozmaitymi czynnikami.

Przede wszystkim Rosjanie zwrócili uwagę na Kurdów zamieszkujących zachodnią część Azerbejdżanu wzdłuż pogranicza persko-irackiego. Ruch narodowy kurdyjski egzystował już od dość dawna i w tej części państwa perskiego był właściwie jedynym separatyzmem w pełnym tego słowa znaczeniu. Rosjanie wykorzystując nienawiść Kurdów do Persów jeśli sugerować możliwość utworzenia niepodległego Kurdystanu, pozwolili na powrót szeregu naczelników, którzy, poprzednio mieli wstęp na teren Iranu wzbromiony i wreszcie pozwolili na zbrojenie się plemion, co samo już mogło pozyskać dla nich serca wojowniczych górali. Mniejszość kurdyjska zamieszkała na terenie sowieckiego Zakaukazia dostarczała agentów, a wydawane w Erywanii pismo „Ria-Taza” („Nowe Drogi”) służyło za dowód pomysłowego rozwoju kulturalnego Kurdów pod opieką sowiecką. Wkrótce zwołano w Baku konferencję naczelników kurdyjskich, na którą zaproszono osoby nawet z poza granic Persji, a później faktycznie uniezależniono Kurdów z okolicy Rizaiya od administracji irańskiej, której wiązano ręce na każdym kroku. W ten sposób uczyniono z Kurdów sprzymierzeńców mogących oddać znaczne usługi nie tylko na terenie Iranu ale także Iraku, a przede wszystkim w Turcji. Powstanie Mulla Mustafy latem roku 1945 (będące zresztą kontynuacją buntu wszechłego przezeń w roku 1943 przeciwko rządowi irackiemu, stało się niejako preludem do wypadków w Azerbejdżanie.

Turków azerbejdżańskich Rosja próbowała pozyskać podobnymi sposobami, przy czym posługiwano się agentami przybyłymi z Azerbejdżanu sowieckiego. Stosowany za czasów Rیزی Szacha nacisk na

ujednoczenie narodowe kraju stwarzał obawy, że po wycofaniu się wojsk sowieckich znów zostanie wznowiona iranizacja kraju a z drugiej strony Azerbejdżanczyk zdawali sobie sprawę z tego, że prowincja ich, będąc najbogatszą w Persji, wyżywa się znacznej części swych dochodów na rzecz Teheranu bez żadnej dla siebie korzyści. W ten sposób grunt był przygotowany przez sam właściwie rząd perski i agitacja sowiecka była jedynie ziarnem padającym na żyzną rolę.

Rosjanie znaleźli także sprzymierzeńców w licznej mniejszości ormiańskiej, mającej nadzieję na stworzenie przez Sowietów „Wielkiej Armenii”, a wreszcie w Asyryjczykach, którym niedawno pozwolono powrócić w okolice Urmii, skąd zostali wypędzeni w czasie pierwszej Wielkiej Wojny. W ten sposób wyzyskano wszystkie istniejące dążenia narodowe i stworzono nowe, by zorganizować jeden wielki ruch odśrodkowy w stosunku do rządu teherańskiego, pozostający pod kierownictwem zręcznie wysuniętych polityków.

Polityka bowiem w Iranie nie była udziałem mas. Zajmowali się nią zawsze feudalni możnowładcy, przywódcy religijni oraz zawodowi politykierzy. Z chwilą upadku Rیزی Szacha ci właśnie mieli możność rozwinięcia ożywionej działalności. „Partie polityczne” jakie powstały, mają właściwie charakter klik intrygantów posługujących się podziemnymi małaćkami oraz szkalujących się wzajemnie przy pomocy licznej prasy. Masy perskie — lud wiejski zwłaszcza, nie miał w polityce żadnego udziału a co najwyżej mógł być uważany za narzędzie, którego należy używać posługując się demagogicznymi hasłami. Nie innym w zasadzie od reszty partij politycznych było stronnictwo Tudeh, zorganizowane przez polityków pozostających pod rozkazami Moskwy. Mając jednak do rozporządzenia środki dawane im przez Sowietów i ciesząc się poparciem władz rosyjskich oraz reprezentacją dyplomatyczną w Teheranie, mogło stać się bardzo niebezpieczne dla rządu perskiego. Nie jest ono liczne i teraz — zwłaszcza na obszarach poza okupacją sowiecką, prócz pewnych ośrodków przemysłowych jak Isfahan, właśnie ze względu na fakt, iż masy ludu perskiego na programach politycznych się nie znają i w walkach partyjnych udziału nie biorą. Hasło jednakże jakie głosi partia Tudeh może w pewnych sprzyjających okolicznościach poderwać ten lud i spowodować ogólny zamęt. Hasłem tym jest chleb dla wszystkich.

Chleba zaś tego brak w Iranie dla bardzo wielu. Poza klasą nieliczną ale wpływową bogatych posiadaczy ziemskich, ogół Persów żyje w warunkach ubóstwa — jeśli nie skrajnej nędzy. Drożyzna artykułów pierwszej potrzeby spowodowana wojną — a może jeszcze bardziej wojenną spekulacją — stworzyła warunki życia niesłychanie ciężkie dla wieśniaka czy drobnego rzemieślnika perskiego. Głód jest najlepszym agitatorem sowieckim oraz tych, którzy na usługach Sowieców stoją. Umiano się też nim posługiwać odpowiednio. Rozdawanie chleba na ulicach Teheranu z samochodów sowieckich, dostarczanie cukru — otrzymanego przez Sowiety z Ameryki na podstawie „Lend and Lease”, były właśnie sztuczkami obliczonymi na pozyskanie głodnych mas. Na pozyskanie tego ludu, który nie wie co to jest komunizm, który nie zna stosunków w Rosji panujących, ale któremu każe się wierzyć, iż Rosjanie uczynią go sytym.

Wreszcie inny jeszcze czynnik przemawia na korzyść Rosji i został należycie przez agitatorów sowieckich wykorzystany: Z.S.R.R. jest zwycięzcą w wojnie z Niemcami. Z tymi Niemcami, których uważano za niezwyciężonych. Zwycięzca zaś i silny — choćby nawet był bardzo brutalny — ma u ludzi wschodnich poważanie, szacunek — a nawet miłość. Przysłowie arabskie mówi: „całuj rękę, której nie możesz ugryźć” — a sposób rozumowania Persów, nie jest odmienny.

To prawda, że Rosja była znienawidzona przez Persów od dawna. Okupacja sowiecka w roku 1941 przypomniła podział na sfery wpływów z roku 1907. Dlatego też patriotci irańscy wrogo się wciąż do Rosji odnoszą — podobnie zresztą jak nienawidzą, choć może nie w tym samym stopniu, Wielką Brytanię, ale mogą być bezsilni wobec podjudzonych mas.

Rosjanie wygrywają w tej chwili atut azerbejdżański, popierając stworzony przez siebie i zorganizowany przez własnych agentów separatystyczny ruch, skierowany przeciwko całości państwa irańskiego. Na obszarach zamieszkałych przez Persów atutem ich będą hasła sprawiedliwości społecznej i chleba dla wszystkich.

Bawiąc się nieco w jasnowidztwo można w sposób następujący określić kolejne etapy projektowanej ekspansji sowieckiej na terenie Środkowego Wschodu:

1. Stworzenie ruchu separatystycznego i oderwanie Azerbejdżanu od Persji, a

następnie „dobrowolne” przyłączenie go do Azerbejdżanu sowieckiego.

2. Zmuszenie do ustąpienia obecnego rządu perskiego i usadowienie w Teheranie władz marionetkowych, które będą przyjmowały wszystkie postulaty sowieckie nawet odnośnie oderwania całych połaci państwa irańskiego na rzecz innych tworów politycznych.

3. Utworzenie Piemontu kurdyjskiego na terenach zachodniego Azerbejdżanu i Ardalanu. Kurdowie zażądają przyłączenia innych prowincji zamieszkałych przez pokrewnych im Lurów i Bachtiarów aż po zatokę Perską. Równocześnie mogą być użyty jako narzędzie zniszczenia Turcji, gdzie w odpowiednim momencie zostanie wywołane powstanie kurdyjskie. Kurdowie spróbują także oderwać część obecnego Iraku wraz z terenami naftowymi Kirkuku.

4. Marionetkowy rząd perski w Teheranie może być narzędziem osaczenia Afganistanu, a poza tym może wystąpić z żądaniami przyłączenia pewnych terytoriów nawet należących do Wielkiej Brytanii — na przykład Beludżystanu.

W ten sposób, Sowiety z jednej strony sięgną ku bramie Indyj, a z drugiej zetkną się bezpośrednio ze światem arabskim. Wprawdzie oderwanie północnego Iraku narazi ich na konflikt z częścią przynajmniej Arabów, ale sprawa ta ma właściwie dla stosunków sowiecko-arabskich znaczenie drugorzędne. W zamiar za pomoc w innym zakresie, Arabowie łatwo zapomną o górzystych obszarach kurdyjskich. Posługując się idącymi na pasku propagandy sowieckiej politykami oraz podburzając głodne masy, Sowiety mogą się starać o zlikwidowanie tych rządów arabskich, które im będą przeciwne. Rozdmuchiwanie nienawiści do imperializmu brytyjskiego i amerykańskiego będzie jednym z najważniejszych narzędzi działania na terenie arabskim.

Tak więc sprawa Azerbejdżanu powinna być traktowana jako pierwszy krok ekspansji sowieckiej w głąb krajów Środkowego Wschodu. Zasadniczym jej podłożem są istniejące od wieków stosunki w państwie perskim, stanowiące podatny i w znacznej mierze przez sam rząd perski przygotowany grunt, na który Sowiety pełnymi garściami rzucali ziarno agitacji politycznej, z którego już zaczynają zbierać plon pierwszy.

Witold Rajkowski

Hitler — zbawca świata

Rok już upłynął od zakończenia największej wojny, jaką znają dzieje, ale problemy związane z tą wojną ani na jotę nie straciły swej aktualności. Wokół tych problemów rosną całe góry publikacji. Dlaczego wojna potoczyła się takimi właśnie, a nie innymi kolejami? Czy jej wynik był wyznaczony przez okoliczności obiektywne, niezależnie od działań poszczególnych bohaterów dramatu dziejowego? Jaką rolę odegrała indywidualność Adolfa Hitlera?

Leży przed nami garść publikacji, starających się dać odpowiedź na te pasjonujące zagadnienia. Liddell Hart, wybitny analityk zjawisk wojennych, zaopatruje swą pracę w wymowny tytuł: „Hitler strategik genialny”. Jacob Corbin, pisarz amerykański, wyczerpująco odpowiada na pytanie, sformułowane nieco dziwacznie w tytule: „Gdyby Hitler nie był Hitlerem”. Lawrence Bentham opowiada „Dzieje pewnego złudzenia”, przy czym w przeciwieństwie do dwóch pierwszych autorów nie jest skłonny przyznawać Hitlerowi właściwości wszechogarniającego geniuszu, ale minionie wznioły przypisuje raczej skrajnej niemoralności metod, nieprawydołowanej bezwzględności działania, zupełnemu zignorowaniu wszelkich przyjętych konwencji.

SŁABOŚĆ PRZECIWNIKÓW ŹRÓDŁEM SIŁY

Jacob Corbin w swej książce analizuje Hitlera, jako psychologa. Okazuje, jak Hitler swą intuicją maniaka trafnie przeniknął podstawowy brak swych przeciwników. Obrońcami pokoju były demokracje, a każda demokracja na świecie za główne swe zadanie poczytuje uniknięcie wojny. Demokracje — których los przepowiadał mistrz Hitlera, Spengler — zgodzą się wszystko znieść, wszystko przeczepić, wszystko zapomnieć, byle uniknąć tragedii otwartego konfliktu zbrojnego. Rządy będą utrzymywały się przy władzy obietnicami pokoju. Mężowie stanu będą wynoszeni na piedestał za akty łechorzościwa, popetniane w imię bezpieczeństwa. Armie będą wypracowywały technikę działania, obliczoną na zabezpieczenie przed decydującymi walkami. Wodzowie będą dobierani stosownie do stopnia przywiązania do zasad strategii obronnej, będącej zaprzeczeniem sztuki wojennej.

Ujawnienie tej podstawowej słabości demokracji było rzeczywistym sukcesem

Hitlera. Ono też było źródłem osiągnięć zarówno w pierwszym okresie bezkrwawych zwycięstw, jak w pierwszej fazie wojny.

W okresie montowania siły militarnej Hitler w pełni eksploatował swe odkrycie. Swój aparat propagandowy nastawił na przekonywanie krajów demokratycznych, że wojna ofensywna winna być wyłączona ze środków ich działania. Otwierał przed demokracjami nęcące perspektywy zwycięstw bez ryzyka, pokoju bez ofiar. Jego propaganda trafiała na wdzięczny grunt, zapadała się w serca ludzi, którzy pragnęli widzieć rzeczywistość na modłę swych życzeń, którzy z Simonem uważali, że pokój bez sprawiedliwości jest pożądanym.

Jeżeli cokolwiek może nasuwać w osobie Hitlera myśl o geniuszu, to chyba owa piekielna zręczność, jaką — wespół z Goebbelsem — rozwinął w akcji, paraliżującej wszelką inicjatywę, z góry przekreślającej wszelki skuteczny zamiysł obronny. Pod jego sprawną ręką przywiązane do pokoju narody bezboleśnie przechodziły od życia do śmierci (która jest rodzajem pokoju) — bez agonii wojny.

ŚLADAMI CLAUSEVITZA

Polska położyła kres pasmu tych największych, bo bezkrwawych zwycięstw Hitlera. Ale metody, przez które były one osiągane podczas pokoju, stosowane były w dalszym ciągu. Nigdy tak słusznie nie wydawało się twierdzenie Clausewitza, że wojna jest kontynuowaniem polityki — innymi środkami. Fantastyczne sukcesy Hitlera, ujarzmienie całej beznamię Europy w ciągu jednego roku — nie było skutkiem przewagi militarnej Hitlera. To był skutek kontynuowania jego polityki. Polityki, której słabość, niezdecydowanie, brak jakichkolwiek tendencji ofensywnych z tej strony nie mogły się przeciwstawić. Dopóki przeciwnicy Hitlera nie przewyżczyli w sobie tych braków, dopóki pozostawiano mu inicjatywę, dawano możność wyboru czasu, miejsca i metody ataku — dopóty Hitler mógł łamać każdą przeszkodę, rozbijać każdy mur, brać każdą twierdzę, jaką próbowano przed nim wydzwignąć.

Oto co pisze obiektywny badacz dziejów tej wojny, pułk. Kernan:

„W pierwszych fazach tej wojny rozłożono przed światem manewr oszukiwania, któremu we względzie chytrności nie może przeciwstawić historia militarna. Popatrzcie przez chwilę na tę *mise en*

scène! Całkowita siła niemiecka zmasowana na granicy polskiej; fortyfikacje na granicy zachodniej dalekie od wykończenia! Hitler, którego godzina przeznaczenia wybiła, musi użyć całej swej siły natarcia dla zmiażdżenia Polski (jeżeli bodaj przez chwilę będzie zatrzymany w swym natarciu, jest zgubiony). W ciągu dwóch miesięcy przynajmniej skrzydło zachodnie zdane jest całkowicie na łaskę ofensywy francuskiej. I tu trzeba powtórzyć powiedzenie Focha: „Wódz z elementarną wiedzą o wojnie zarządziłby atak”. Gdyby to uczynił Garmelin — wojna skończyłaby się o kilka lat wcześniej”.

ROZUMNY PLAN CZY PARTACKA IMPROWIZACJA

Wojna musiała trwać o kilka lat dłużej, bo Hitler trafnie ocenił dysproporcje swych przeciwników i musiał je zużyć gwoździ własnych korzyści. A że wojna skończyła się katastrofą Niemiec, to tylko już przez błędy Hitlera, błędy ciężkie i niewybaczalne, błędy psychologiczne, militarne, strategiczne.

Analitycy dziejów tej wojny starają się wyznaczyć osobisty udział Hitlera w katastrofie jego kraju. Próbuja ustalić — w jakiej mierze Hitler ponosi winę za przystąpienie do wojny Stanów Zjednoczonych, które — jak udowadnia Corbin — w roku 1940 dalekie były od jednomyślności w stosunku do Niemców i których przemysł bardzo niechętnie oceniał ideę przedstawienia się na produkcję wojenną.

Analitycy dziejów tej wojny rozważają zagadnienia, czy obrała przez Hitlera kolejność napaści: Polska — Anglia (z interwałem rocznym) — Rosja (z interwałem dwuletnim) zamiast kolejności Polska—Rosja—Francja—Anglia, albo Francja—Anglia—Polska—Rosja — była istotnie rozumnie przemyślana, planową koncepcją polityczno-strategiczną, czy też partacką improwizacją, wyznaczoną przez linię pozornie najmniejszego oporu.

MIAŁEŚ, CHAMIE, ŻŁOTY RÓG!

Jest dziś rzeczą niewątpliwą, że Hitler, nawet krocząc po drodze po której kroczył, mógł być swoje cele osiągnąć.

„We wrześniu 1940 roku państwa osi miały wojnę wygraną” — stwierdza kategorycznie Albert Carr. I pogląd ten potwierdza wielu — jeżeli nie większość — kompetentnych ekspertów wojennych.

Cała niemal Europa leżała u nóg Hitlera. Rosja wspomagała zwycięskie Niemcy. Ameryka była nieskończenie bardziej odległa od wejścia w wojnę, niż się dziś przypusz-

cza, Anglia była osamotniona, z jedną tylko Polską przy boku, od wewnątrz rozsadzana przez irredentę hinduską i arabską, z lotnictwem, wygnanym z powietrza przez miażdżącą przewagę Luftwaffe, z produkcją wojenną niemal nieistniejącą. Włochy wypychały się do Egiptu.

Hitler miał wszystkie drzwi na Europę i na świat na oścież otwarte. Miał w rękę złoty róg, na którym mógł zagrać pieśń zwycięstwa. Cóż mogło uratować świat przed Hitlerem? Nikt wtedy nie umiał na to odpowiedzieć. Dziś mamy odpowiedź. Tylko Hitler mógł uratować świat przed Hitlerem. I uratował.

JAK HISTORIA TWORZY SWE CUDA?

Dlaczego Hitler nie zaatakował Anglii po pogromie Francji? Szanse zwycięstwa niemieckiego były wówczas olbrzymie. Tak oceniali je obserwatorzy ówczesni. Tak oceniali je retrospektywnie Churchill.

Anglia była bez wojska, jej brzegi były nieumocnione, Luftwaffe panowała bezapelacyjnie nad przestworzami. To, że Niemcy nie zakończyły wówczas wojny i nie zmiażdżyły wówczas Anglii, to był wielki cud historii, większy, niż cud nad Marną i większy, niż cud nad Wisłą.

Gdy upojone zwycięstwem masy żołdactwa niemieckiego były na zdobytych brzegach Francji, Belgii, Holandii: „Dziś zdobędziemy Anglię, jutro świat cały” — Hitler, zamiast spełnić ten skromny postulat — hamletyzował. On, który tak niechętnie drwił z linii Maginota, zanim sam nie postawił na „wał atlantycki” na Festung Europa, a w końcu na linię Siegfrieda, wobec słabej i samotnej Anglii nie dał zatryumfować swej tryumfalnej doktrynie ofensywy, nie wystawił na próbę mocy obronnej Anglii.

Zląkł się? Bał się narazić na niepowodzenie swój niezwyciężony dotąd oręż? Może nie było w jego kalkulacji owych 100% pewności zwycięstwa, bez których nigdy — nie wyłączając uderzenia na Rosję — swych akcyj nie przedsiębrał? Może czekał, aż mu czas dopracuje owe brakujące 5% 10% 20% do całkowitej pewności zwycięstwa i tak fatalnie prześfajnował?

„Od 50 lat dążyliśmy do zniszczenia Anglii — mówił pewien generał niemiecki podczas inwazji na Norwegię — i tym razem nie pozostawimy nic dziełu przypadku”. Fatalny błąd — przepuścić moment, gdy zwycięstwo było więcej niż prawdopodobne i czekać na chwilę — nigdy nie mającą nastąpić, — gdy to zwycięstwo będzie

słup procentowe. Oto, jak historia tworzy swe cuda.

Istnieje pogląd, który kiedyś wypowiedział Churchill, a który obszernie rozwijał Kennedy („The history of an oversight”), że Hitler dlatego nie zdobył się na inwazję Anglii, bo nie dysponował dostateczną ilością środków szybkiego transportu morskiego. Inni taktycy przeciwstawiają się temu pogładowi, twierdząc, że, o ile nie było dostatecznej ilości statków, to jednak całkowicie możliwa i wykonalna była operacja kombinowana, morsko-powietrzna, pozwalająca wykorzystać ogromną obfitość środków transportu powietrznego.

Nie mamy dostatecznych elementów dla oceny słuszności każdej z tych tez. Ale jeżeli prawdą jest, że możliwość inwazji przekreślał niedostatek środków transportu morskiego — to błędem niewybaczalnym było nieprzygotowanie tych środków. Błędem niewybaczalnym było skoncentrowanie po r. 1939 całego wysiłku produkcyjnego na budowę tanków, które miały w rok później zdobywać Rosję (imponująca daleko-wzroczność Hitlera!) i na budowę łodzi podwodnych, które wedle obietnic admirała Roedera miały przez blokadę zmusić Anglię do uległości.

HITLER W ROLI SPRZYMIERZENIA ANGLII

A po tych błędach, przez które Niemcom wymknęła się z rąk sposobność zdobycia Anglii w połowie 1940 r., w parę miesięcy później nastąpiły dalsze błędy, które sparaliżowały możliwość wykorzystania ponownej okazji dopięcia tego celu.

Battle of England! Wspaniała i heroiczna epopeja nowoczesnej Anglii! Źródło chwały na długie zapewne stulecia! Ale czyż to zwycięstwo byłoby możliwe, gdyby obrońcy wysp nie mieli potężnego sprzymierzeńca w osobie... Hitlera? W jego wszechogarniającym geniuszu szablonu, rutyny, krótkowidztwa? Niemcy istotnie zrobili wszystko, aby ułatwić Anglikom zwycięstwo.

W świetle kompetentnych ocen odsłaniają się rzeczy wręcz niewiarygodne. Pomyślemy tylko: Niemcy atakują Anglię 10 tysiącami samolotów, w tym połowa bombowców. Tej gigantycznej sile Luftwaffe przeciwstawia się niepełna 3 tysiące samolotów brytyjskich i polskich.

Jedynym oparciem wątłej armii powietrznej Anglii jest wewnętrzna produkcja. Mówiąc ściślej: sześć fabryk lotniczych. Ten oto słaby, niezakamufLOWany przemysł trzyma na swych barkach całe zadanie obrony powietrznej Anglii. Jego obowiązkiem jest zasilanie efektywów, kompenso-

wanie każdej straty, wykonanie każdej reperacji. Wątpliwość tego potencjału produkcyjnego wydźwiga przy spełnianiu tego zadania trudności nieprzeczwyciężone. Całe załogi RAF nie mogą uczestniczyć w akcji w oczekiwaniu, aż nieliczne, przeladowane pracą warsztaty zdolają dokonać niezbędnych reperacji.

Jeżeli przemysłowi angielskiemu ostatecznie udaje się wykonać trudne zadanie, jeżeli może — jak o nim słusznie powiedziano — wygrać bitwę o Anglię, to zasługę w tym względzie sprawiedliwie z nim dzieli — naczelné dowództwo niemieckie.

Zachodzą rzeczy nieprawdopodobne, choć prawdziwe. Niemcy nie przeszkadzają pracować angielskiemu przemysłowi lotniczemu. Niemiecki plan działań nie przewiduje widocznie akcji przeciw fabrykom lotniczym. Luftwaffe mogłaby dosłownie zmieść z powierzchni ziemi — bo wszystkie były na powierzchni ziemi — te sześć fabryk, znanych zapewne dobrze wywiadowi niemieckiemu. Luftwaffe tego nie czyni. Nie próbuje tego czynić. Fabryka w Yorkshire — jedyne źródło zaopatrzenia lotnictwa angielskiego w motory ciężkie — nie była ani razu bombardowana.

BLITZ OBLICZONY NA 100 LAT

Luftwaffe jest zajęta czymś innym. Stara się unicestwić nie przemysł angielski, ale morale Anglików. Bombarduje centrum Londynu i dzielnice handlowe Coventry. 500 bomb spada codziennie na Londyn. Dzieło niszczenia Anglii niewątpliwie postępuje, ale, jak powiedział któryś angielski mąż stanu, stu lat by trzeba, by działania w tej skali doprowadziły do sfinalizowania tego zadania.

Z bezprzykładnie tępyim pedantyzmem stosuje Hitler w Anglii metody „blitzu” powietrznego „wypróbowane” w Polsce, Francji i Holandii. Udało się tam, powinno się udać i tu. Była jednak pewna, nie mała ważna różnica. Tam działania sił powietrznych zespolone były z akcją sił naziemnych, eksploatujących efekty bombardowań. Tu podjęta była próba wcielenia w życie niewypróbowanej koncepcji lotnictwa, jako czynnika, zdolnego samo przez się rozstrzygnąć o losach wojny. Ostatecznie Hitler zorientował się i chciał naprawić błąd swej strategii powietrznej. W roku 1941 podjął próbę opanowania Wielkiej Brytanii przez atakowanie jej podstaw przemysłowych. To był też błąd. Bo wtedy działał już Lend-Lease, zaopatrujący Anglików w masy sprzętu lotniczego, na wyspach pracował już silnie

rozbudowany i odpowiednio zakamuflowany przemysł lotniczy. No, i siła Luftwaffe bardzo już stępiła w wyniku długotrwałego „łamania ducha” Anglików.

PLAN DWÓCH GENIUSZÓW

Następny ciężki błąd Hitlera — to był atak na Grecję, przeprowadzony przez Włochów, ale opracowany wspólnym wysiłkiem dwóch „geniuszów” — Hitlera i Mussoliniego — podczas ich pamiętnego spotkania w Brenner.

Inwazja Grecji była wydarzeniem brzemennym w następstwa. Może nie daleki od prawdy jest G. M. Walker, gdy twierdzi, że przesądziła ona o losach całej wojny i że kapitulacja Włoch pozostaje w najściślejszym związku z tą niefortunną wyprawą.

Istotnie, Włosi wyszli z niej, jak Olbracht z wyprawy na Wotosszczyznę. Ale Niemcy też nie lepiej na niej wyszli. Stracili przez nią ni mniej ni więcej tylko jedyną możliwość opanowania Afryki Północnej, a w konsekwencji — możliwość zniszczenia angielskiego systemu komunikacyjnego, zlikwidowania angielskiej hegemonii nad morzami, położenia kresu angielskiemu panowaniu nad Bliskim Wschodem i Indiami.

Jesienią 1940 roku Niemcy przygotowywali się do uderzenia na Egipt. Gdyby wyprawa ta przeprowadzona została w sposób całkowity, przy użyciu pełni sił — Egipt znalazłby się w rękach niemieckich... Taki jest zgodny pogląd angielskich i amerykańskich specjalistów wojskowych. Siły, jakimi rozporządzali wówczas Anglicy były tak nikłe, że nie mogłyby skutecznie przeciwstawić się potęgze napastnika. Niemcy w Kairze i Aleksandrii, Niemcy w Suezie, Niemcy z dostępem do Oceanu Indyjskiego — to ostateczne podcięcie sił obronnych Anglii, to wojna dla Niemców wygrana.

Niemcy nie zajęli Suezu. Niemcy nie weszli do Aleksandrii. Niemcy nie odcieśli powrotu Anglii do Europy. Dlaczego? Bo siły, przy których pomocy można by tego dokonać, musiały być zużyte gdzie indziej. Półtora roku zeszło na odrabianiu błędów strategicznych Włochów, na likwidowaniu następstw planu dwóch geniuszów.

Wszyscy są dziś zgodni w uznaniu, że inwazja Grecji nie była żadną koniecznością. Być może, że jej wymagała polityka prestiżowa Mussoliniego. Grecja neutralna, słaba, izolowana, w sferze „wpływów” osi nie mogła być zbyt groźna. Groźna stawała się dopiero Grecja walcząca, broniąca się, nawet zwyciężająca. Stawała się pozycją

brytyjską w Europie, gniazdem oporu, ośrodkiem koncentracji sił przeciwośiowych. Hitler nie mógł tego tolerować. Więc podjął swą wspaniałą, zwycięską, błyskawiczną i błyskawiczną wyprawę na Grecję. Ale cena, jaką trzeba było okupić ten sukces — pod niebiosa wynoszony wówczas przez Goebbelsa — była niemała: Aleksandria i Suez. Bo Anglicy, chociaż słabi i źle uzbrojeni, wyzyskali „zadzierżkę” i podjęli ofensywę. Powstały przesłanki do długotrwałej walki dopóki przewaga pomocy amerykańskiej nie ujawniła się pod Alamein.

TRYUMF WYWIADU NIEMIECKIEGO

Czy wojna z Rosją była dla Hitlera koniecznością? Dużo by się dało na ten temat powiedzieć, ale jedno stwierdzić można z pewnością, że nie byłby się na nią zdecydował, gdyby był mógł przewidzieć jej przebieg.

Za swą katastrofalną decyzję Hitler dzieli odpowiedzialność z wywiadem niemieckim, owym „genialnym wywiadem niemieckim”, dla którego rzekomo nie było żadnych tajemnic w krajach, które mogły być przeciwnikami Niemiec. W rzeczywistości wywiad niemiecki tyleż wiedział o sowieckiej gospodarce wojennej, co o życiu sowieckim wiedzieli „obserwatorzy zagraniczni”, lałami zaśmiecający księgarnie europejskie swymi „prawdami o Rosji sowieckiej”. I wywiad i „obserwatorzy” wiedzieli to, co Krenl chciał, by wiedzieli. Niemcy, którzy w swej prasie chwalili się, że do ostatejnej śrubki znają sowiecki przemysł wojenny, w istocie nie mieli o tym zielonego pojęcia.

Sztab niemiecki nie wiedział, czym były „piatiletki”. Nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia i rozmiarów produkcji na uralskich i zauralskich obszarach przemysłowych. Wyobrażeniami swymi nie wychodził poza tradycyjne pojęcia o gospodarce rosyjskiej, pojęcia, wedle których źródła zasobów przemysłowych ograniczone są do Ukrainy, a odcięcie od Morza Czarnego i Bałtyku równoznaczne jest z uduszeniem się imperium.

SYNTEZA TYSIĄCA BŁĘDÓW

Inwazja Rosji była błędem, w którym skupiło się tysiąc błędów. Dano dwa bezcenne lata na przygotowanie się, na wyzyskanie doświadczeń wojny, skorygowanie tylu błędów i braków, jakie ujawniła kampania fińska.

W inwazji na Rosję Hitler zastosował metodę „blitzu” wypróbowaną w inwazjach poprzednich bez uwzględnienia szczególnych

warunków lokalnych, tak, jak gdyby teren Rosji i Holandii stwarzał identyczną problematykę strategiczną i gospodarczo — wojenną. Hitler, który tylekroć chełpił się, że „nie powtórzy błędów Napoleona”, nie przygotował się do walk w zimie, nie obliczył rosyjskich możliwości ofensywnych, nie uwzględnił odrębności psychologicznych Rosjan.

Popełnił bezmiar błędów taktycznych (pisze o nich Fletcher w „Is Germany invincible?”), działania swe podporządkował nie zdrowej myśli strategicznej, ale polityce swego własnego prestiżu. Pod natchnieniem swej „strategii intuicyjnej” utrzymywał długi, a słaby front, który tak pękł beznadziejnie. Wszystko to doprowadziło do najbardziej rujnującej kampanii, jaką znają dzieje i do najstraszliwszej klęski, jaką znają dzieje.

ZBAWCA ŚWIATA

Voilà ce qui arrive quand on entasse les defaults sur les defaults” — mówił Napoleon. Hitler miał jedyną i nieporównaną szansę urzeczywistnienia niemieckich snów o potędze. Mądrzy ludzie przepowiadają — w oparciu o skomplikowane argumenty demograficzne — że ta szansa już się więcej nie powtórzy, że w połowie obecnego stulecia Niemcy — podobnie jak Francja po Napoleonie — na zawsze utracą swe możliwości ekspansywne.

Gdyby tę wojnę uwieńczyło zwycięstwo — Niemcy mogłyby doprawdy zapewnić sobie panowanie nad światem „na przeciąg jednego tysiąclecia”. Jeżeli ta ponura perspektywa została odsunięta — to zastrugę tego należy w głównej mierze przypisać Hitlerowi — zbawcy świata.

Jan Malicki

Słowo gniewne

*Suną tygodnie, płyną miesiące, kręci się młynek,
Zegar na sennej wieży ratusza wybił godzinę.*

*Piętrzą się szlaki, coraz jest bliżej, coraz jest dalej,
Gruz się posypał, dom zadygotał, sufit się zwałił.*

*Duszę się w prochu, dławię się w grozic, mrok popiół sypie —
...Styczeń i luty, marzec i kwiecień, czerwiec i lipiec.*

*Obroty mgławic, Szale i Orion, mleko galaktyk,
Spazmy poezji, ruiny nieba, malarzskie akty;*

*Coraz jest parniej, coraz jest zwiewniej, nastrój drga płynnie;
Nieśmiertelniki, ptotun i osel, bez i glicynie.*

*Idą w surdulach, w dziwnych cylindrach, barwne postacie;
Każda przykleka u dróg rozstajnych i mówi pacierz.*

*Riją w kościołach serca spiżowe, dzwony srebrzyste,
Paciśk przeleciał, próżnią zasyczał i parsknął świstem.*

*...Na dnie otchłani, na kresach pieśni, wyrzucam gniewnie
Słowo — że będzie szumniej i raźniej, jaśniej i śpiewniej.*

*Pocóż, mój miły, ostry wykrzyknik i wartki patos?
Spokój poległym, nadzieja żywym, mowy — armatom.*

*Suną tygodnie, płyną miesiące, kręci się młynek.
Do końca nie wiem — wrócę czy padnę, dojdę czy zginę.*

*Jednego, pewny: pędu Shermanów, gwiazd i księżycą,
Szlaku, nad którym świeci Wilkołak i Niedźwiedzica.*

Artur Międzyrzecki

Naród Serbski w Drugiej Wojnie Światowej

Dla zrozumienia obecnej sytuacji na Międzymorzu zasadnicze znaczenie posiada znajomość dziejów i walki każdego z Narodów Międzymorza w latach drugiej wojny światowej.

Dzieje wielu z narodów Międzymorza w drugiej wojnie światowej nie są proste. Kształtowały je równolegle: własna wola niepodległości i obca przemoc, nie znająca żadnych skrupułów w metodach, posługująca się równie siłą fizyczną jak rozkładem moralnym. Nie szybko będzie mógł historyk z tych ciężkich lat wydzielić ściśle prawdę od fałszu.

Artykuł „Naród Serbski w Drugiej Wojnie Światowej” traktuje redakcja jako przyczynek do zrozumienia bohaterskich, ale strasznych i skomplikowanych jednocześnie, wojennych lat w Jugosławii.

Artykuł został napisany przez Serba, zwolennika Jugosławii. Redakcja przedstawia lojalnie bez żadnych zmian poglądy autora. W trudnych sprawach wewnętrzno-jugosłowiańskich a w szczególności sporu chorwacko-serbskiego trudno uznać metodę przemilczania za najwłaściwszą. Dlatego i w tym względzie na odpowiedzialność autora redakcja zamieszcza lojalnie poglądy Serba-Jugosłowianina.

Redakcja żywi przekonanie, że i z poznania dziejów gorzkich, bralobójczych walk wyniknąć może w ostatecznym rezultacie tylko jeszcze bardziej wzmożone pragnienie Wspólnoty Międzymorskiej.

Druga wojna światowa zastała Jugosławię w pełnym fermentie wewnętrznym. Po 20 latach istnienia ciągle jeszcze szukała Jugosławia ostatecznej formy dla swego ustroju i równowagi wewnętrznej.

Spór serbsko-chorwacki, który jest głównym problemem jugosłowiańskim — ciągnie się, jak nie czerwona przez jugosłowiańskie życie polityczne tego okresu i uniemożliwił konsolidację państwa. Spór ten trzymał kraj w stanie równowagi chwiejnej: w stałym wahaniu się między koncepcją państwa jednolitego, scentralizowanego i opartego na jugosłowiańskiej idei narodowej, a dążeniami decentralistycznymi, zmierzającymi do utworzenia państwa federacyjnego o niezależnych indywidualnościach politycznych narodów:

serbskiego, chorwackiego i słoweńskiego oraz do jak największego osłabienia uprawnień władz centralnych. U Serbów i Słoweńców zasada wspólnego państwa Jugosławii, bez względu na jej ustrój wewnętrzny, nigdy nie była kwestionowana; dążenia odśrodkowe na skrajnym skrzydle Chorwatów (reprezentowanym w ruchu ustaszowskim) szły w kierunku rozbitcia samej Jugosławii i stworzenia „niezależnego państwa chorwackiego”. Serbowie, naród dzielny i państwowotwórczy, odczuł głęboko w najszerszych warstwach znaczenie swojego narodowego wyzwolenia i zjednoczenia. Wierni myśli kosowskiej, wyzwolenie i zjednoczenie wszystkich Słowian południowych uważali oni za swoją misję historyczną. Dlatego też z wielką troskliwością i zazdrością czuwali, by Jugosławia stała się urzeczywistnieniem tej idei, o której spełnienie przez 150 lat prowadzili krwawe walki i pełne ofiar wojny.

Serbowie, i to jest ich naczelną zasługą, zrozumieli, że Jugosławia będzie bezpieczna od agresji zewnątrz, jeżeli będzie rządzona przez silny rząd centralny i że dlatego zjednoczenie i zespolenie narodów: serbskiego, chorwackiego i słoweńskiego pod wspólnym silnym rządem jest solą w oku dla ewentualnych agresorów. Tworzyli oni przeważnie ten odłam społeczeństwa jugosłowiańskiego, który dążył do centralistycznego urządzenia państwa. Dążenia te znalazły swój wyraz w „konstytucji widowańskiej” z roku 1920 i w okrojowanej konstytucji jugosłowiańskiej z roku 1930.

Chorwaci, w wielu okęgach pomieszani etnograficznie z Serbami, czuli się w stosunku do nich słabszymi, zarówno ze względu na swą liczebność jak i z innych powodów. Czując się w „stanie zagrożenia” (oprócz części Chorwatów — będących jugosłowiańskimi państwowcami), dążyli oni do jak największej ochrony swej chorwackiej, narodowej i politycznej odrębności, przeciwstawiając się centralistycznym dążeniom Serbów i żądali odrębnego państwa chorwackiego. Słoweńcy, wykorzystując państwo jugosłowiańskie dla rozwoju swego już dawniej rozbudowanego przemysłu i dla umieszczenia nadwyżki swojej

inteligencji, nie uważali problemu ustrojowego za podstawowy dla własnych interesów, a cały spór serbsko-chorwacki posłużył im taktycznie dla umocnienia swego stanowiska w kraju. Żadne też z poważnych ugrupowań politycznych, oprócz skrajnego skrzydła słoweńskiej partii ludowej, nigdy, ani jawnie ani tajnie, nie ujawniło dążeń, które by naruszały zasadę państwa unitarnego.

W nowym parlamencie 20 czerwca 1928 roku, po tragicznych wypadkach, które wstrząsnęły fundamentem państwa — Serbowie zaczęli coraz wyraźniej przychylić się do stanowiska, że dla prawdziwego uzdrowienia i wzmocnienia państwa na zewnątrz jest niezbędne gruntowne i definitywne rozwiązanie kwestii serbsko-chorwackiej, porzucenie unitarystycznych i centralistycznych idei państwowych i zbliżenie się do chorwackiego punktu widzenia Jugosławii federacyjnej, w której by ziemie serbsko-chorwackie i słoweńskie posiadały autonomię. Po nieudanej próbie króla Aleksandra I w początkowym okresie rządów autorytatywnych, 6 stycznia 1929 roku (wewn. zamach stanu) — nastąpiło silniejsze podkreślenie jugosłowiańskiej idei narodowej, z szeroką decentralizacją samorządu w banowinach.

W ten sposób idea państwa federacyjnego wzrastała na sile. Ujawniło się to w wyborach do parlamentu w roku 1935 i w 1938 oraz w walce tzw. opozycji zjednoczonej przeciwko istniejącemu reżimowi, który, za pośrednictwem zorganizowanej przez siebie partii, starał się zniekształcić wolę narodu metodami policyjnymi i zapewnić sobie fikcyjną większość. W akcji zjednoczonej opozycji ujawniły się tak ze strony serbskiej, jak i chorwackiej dążenia do współpracy i urzeczywistnienia idei państwa o charakterze federacyjnym. Coraz bardziej pogarszające się stosunki w kraju szły krok w krok z pogarszającą się sytuacją międzynarodową, która z powodu wzrastającej agresywności nazistowskich Niemiec i faszystowskich Włoch — zwiastowała ogólny konflikt światowy. Mimo takiego rozwoju wypadków, zjednoczona opozycja ani po wyborach do parlamentu w roku 1938, ani w ciągu 1939 roku, nie potrafiła znaleźć rozwiązania sporu serbsko-chorwackiego.

Regencja królewska pod przewodnictwem księcia Pawła, przewidując nadchodzącą burzę, próbowała za wszelką cenę doprowadzić kraj do uspokojenia i konsolidacji. Dnia 26 sierpnia 1939 roku, tj. na pięć dni przed rozpoczęciem się drugiej wojny światowej — nastąpiło tzw. porozumienie Maczek-Cwetkiewicz, i utworzono Banowinę

Chorwacką w granicach państwa jugosłowiańskiego. Ta Banowina Chorwacka miała uspokoić Chorwatów i unocnić państwo na zewnątrz.

Porozumienie to, sprzeczne z podstawowymi zasadami obowiązującej konstytucji, wdzierało się głęboko w wewnętrzne stosunki kraju, a ze względu na brak udziału legalnych reprezentantów Serbów w chwili jego powstania nie miało i nie mogło mieć należytego znaczenia i potrzebnego autorytetu.

Było to porozumienie Chorwatów z Serbami — ale bez Serbów. Porozumienie to, do którego doprowadził książę Paweł bez udziału przywódców demokratycznych ugrupowań serbskich, miało rozwiązać najpoważniejszy i najdelikatniejszy problem terytorialnego rozgraniczenia serbskiej i chorwackiej „przestrzeni” życiowej. Jaka straszna pomyłka, jaki nonsens polityczny! A jednak było ono konieczne, by umocnić państwo na wewnątrz, podnieść jego polityczny i wojskowy potencjał i przygotować na nadchodzące wypadki.

Nic dziwnego, że skutki takiego porozumienia zawiodły. Rozgoryczyło ono Serbów do ostatnich granic, a nie zadowoliło Chorwatów, którzy znali jego problematyczną wartość polityczną. Banowina Chorwacka stała się „państwem w państwie”, kwestia urządzenia innych części Jugosławii została otwarta, a całe państwo dezorganizowało się. Zamiast umocnić państwo wewnątrz, to nieudane porozumienie rozkładało je jeszcze bardziej.

W takim stanie rzeczy proces wewnętrznej rozczłonkowania państwa postępował szybko naprzód. Włochy faszystowskie, którym Jugosławia stała na drodze w ich ekspansji na Bałkanach, stale rozpałały i podniecały wszystkie elementy destruktywne i dążenia irredentystyczne w Jugosławii. Poczynając od ruchu ustaszowskiego Ante Pwelicza, roszczeń węgierskich do przyłączenia prowincji utraconych po pierwszej wojnie światowej i zamieszkałych przez Jugosłowian, pretensyj bułgarskich do Macedonii i Serbii południowej — aż do aspiracji albańskich do Kosowskiego Pola i Moetochi oraz akcji czarnogórskich „zielenasów” federalistów, wszystko to szło na rękę planom faszystowskim. Włochy, które wkroczyły już do Albanii i intrygowały w Grecji czekały tylko na moment, kiedy Jugosławia zostanie wciągnięta w wir wojny i nieuniknionej klęski, aby zagarnąć dla siebie upragnioną część Słowenii i Dalmacji.

Jugosłowiańska partia komunistyczna została uznana za nielegalną po zamordowaniu ministra spraw wewnętrznych Mi-

lorada Draškowicza. Istniała nadal wbrew kodeksowi ochrony państwa, który został ogłoszony w 1930 roku i nielegalnie kontynuowała prace według wskazówek III Międzynarodówki, również oczekując na moment załamania się Jugosławii. Wiedziała ona, że jedynie po wojskowej klęsce Jugosławii będzie mogła przystąpić do urzeczywistnienia rewolucji socjalnej i narzucenia dyktatury komunistycznej. Tymczasem w miarę możliwości podkopywała od wewnątrz fundament państwa. Jugosławia osłabiona na wewnątrz i podminowana, bez rzeczywistej i efektownej pomocy z zewnątrz, zaczęła — począwszy od roku 1930 — wbrew życzeniom narodu coraz to więcej poddawać się wpływowi nazistowskiej Trzeciej Rzeszy, która nieoczekiwanie i raptownie się wzmocniła, a po Monachium naciskała w sposób coraz bardziej zdecydowany i bezwzględny. Doprowadziło to do wymuszenia na Jugosławii przystąpienia do „paktu trzech” przez premiera Cwetkowicza i ministra spraw zagranicznych Cincar-Markowicza dnia 24 marca 1941 w Belwederze w Wiedniu.

Kielich cierpliwości narodowej przepełnił się. Serbowie już przed tym z trudem znosili beczelne i bezwzględne postępowanie Niemców, których zawsze uważali za swoich wrogów, a już zupełnie nie mogli ścierpieć tego, że rząd posiadający ich zaufanie, doprowadził państwo, stworzone przez nich kosztem tylu ofiar do opuszczenia tradycyjnej polityki przyjaźni z mocarstwami zachodnimi. Stosunkowo mała grupa oficerów, przeważnie lotników, opierając się na nastrojach najszerszych warstw narodu serbskiego bez trudności — 27 marca w trzy dni po podpisaniu przystąpienia do „paktu trzech” — przeprowadziła zamach stanu, który w mgnieniu oka zniósł regentów i rząd Cwetkowicza. I wojsko i cywile byli świadomi daleko idących konsekwencji tego faktu. Naród serbski — kregosłup państwa — widział, że oczekują go ciężkie i pełne nieszczęść dni i że cały ciężar zamachu 27 marca spadnie na jego głowę. Tego, że był to zaledwie wstęp do największej tragedii narodowej i cierpień, jakich przed tym w swej długiej i krwawej historii naród serbski nigdy nie poniósł, nie przewidział nikt. Młody król Piotr II, który dopiero 6 września 1941 roku, po dojściu do pełnoletności, miał objąć władzę królewską, aprobował tę rewolucję, objął natychmiast władzę i utworzył rząd szerokiej koalicji pod przewodnictwem generała lotnictwa Simmowicza. Główny trzon rządu tworzyły partie zjednoczonej opozycji i tzw. kulturalnego klubu serbskiego z profesorem Słobo-

danem Jowanowiczem na czele, jako premierem rządu. W rządzie tym wzięła udział chorwacka partia chłopska z dr. Wlatko Maczkiem na czele, jako drugim wicepremierem. Zdecydowała się ona jednak na ten krok dopiero po kilku dniach fatalnego milczenia.

Na ulicach Belgradu, na głównych skrzyżowaniach dróg i w wielu punktach strategicznych, ustawiono wojsko i karabiny maszynowe. Policja nie pokazywała się nigdzie. Wszystkie te środki ostrożności okazały się niepotrzebne. Tylko Zagrzeb odniósł się do tych wydarzeń chłodno i z rezerwą. Ludność Belgradu i innych większych i mniejszych miast jasno i otwarcie w masowych manifestacjach wyraziła swoje zadowolenie i zgodę na nowy stan faktyczny. Jednak już 27 marca, tj. w dniu zamachu stanu można było wyczuć pierwsze objawy przyszłej nieszczęsnej wojny domowej. Komuniści po raz pierwszy od chwili uznania ich za partię nielegalną wyszli otwarcie na ulicę, a wysunąwszy się na czoło demonstrujących robotników, odłączyli się od reszty pochodu i jako odrębna grupa zdemolowali niemieckie biuro podróży i zaatakowali czynnie niemieckiego przedstawiciela dyplomatycznego. Ten fakt był z góry przygotowany i obmyślany, jako prowokacja w celu przyspieszenia akcji niemieckiej.

Wojna z Niemcami była nieunikniona. Hitler uważał dzień 27 marca za policzek wymierzony jemu osobiście i całemu narodowi niemieckiemu. Postanowił więc błyskawicznym uderzeniem zgnieść Jugosławię a surowo ukarać naród serbski, którego uważał za wyłącznie odpowiedzialnego sprawcę. Złość Hitlera była tym większa, że Jugosławia pokrzyżowała jego plany wojenne przeciwko Związkowi Sowieckiemu, będące już w ostatniej fazie przygotowań. Akcja przeciwko Jugosławii spowodowała potrzebę przegrupowania wojsk niemieckich, przygotowanych już do wojny ze Związkiem Sowieckim i odroczenie uderzenia na Z. S. R. R. do dnia 22 czerwca 1941 roku. To opóźnienie miało, jak wiadomo ważne następstwa dla całego przebiegu wojny niemieckiej przeciwko Rosji.

Hitlerowi śpieszyło się widocznie. Chciał jak najszybciej i jak najgruntowniej zlikwidować sprawę jugosłowiańską, by móc w jak najkrótszym czasie rzucić całą swą siłę przeciwko Związkowi Sowieckiemu i zniszczyć ostatecznie swego głównego konkurenta na kontynencie.

W niedzielę dnia 6 kwietnia 1941 roku — tj. ósmego dnia po zamachu stanu —

Niemcy bez uprzedniego wypowiedzenia wojny uderzyli na Jugosławie.

Przez straszliwe bombardowania Belgradu i innych miast sparaliżowali od samego początku administrację wojskową i cywilną. Armie niemieckie wkroczyły jednocześnie z Bułgarii, Węgier i Austrii. Za Niemcami rozpoczęli natychmiast akcję i Włosi, atakując zachodnie i południowo-zachodnie granice Jugosławii. Wszystko to stało się prędzej, niż rząd Simmowicza mógł przewidzieć i zanim przedsięwziął cokolwiek poważniejszego dla obrony kraju. Sytuacja wojenna Jugosławii, ze względu na jej położenie, przewagę nieprzyjaciela i jego

błyskawiczny atak, była beznadziejna. Armia jugosłowiańska, która według poprzednich ocen mogła opierać się nieprzyjacielowi 2-3 miesiące, została pobita w ciągu kilku dni, zanim zdołała przeprowadzić mobilizację i przegrupować swoje siły.

Krótkotrwała wojna zakończyła się całkowitą klęską i tymczasowym wykreśleniem Jugosławii z mapy Europy. Król i rząd schronili się w W. Brytanii, a naród serbski na gruzach Jugosławii rozpoczął nowy marsz po ciernistej drodze rozpaczliwego oporu, męczeństwa i ofiarności.

S. Sokolowič

Z POEZJI OBCEJ

Daleki deszcz

*Niby kobiety okryte żałobą od głowy do stóp,
Długie smugi deszczu na szarości chmur, daleko.
Zielony jest ocean gdzie wpada rzeka, w oddali,
Barwy popiołu między krańcami przylądków, fiołkowy tam, gdzie wolno przechodzą
kobiety*

*Czego żądają? Czyjej śmierci płaczą?
W urnach, które trzymają w dłoniach okryte welonem, jakich popioły bohaterów?
Jedna za drugą przechodzą, tytaniczne,
Niosąc w sercach dostojną boleść, piękno walki przegranej.*

Robinson Jeffers

Tłum. Kazimierz Sowiński

Krew

W wędrówkach po Wileńszczyźnie często się spotyka — nieraz nawet zupełnie niespodziewanie — ślady dawnej wielkiej przeszłości tego kraju. Np. takie małe, ciche miasteczko w powiecie oszmiańskim — Krewa z resztkami książęcego zamku litewskiego. Przecież to jest miejscowość, w której przed wiekami poczęło się porozumienie polsko-litewskie, stanowiące dotąd jeden z najdoskonalszych wzorów zgodnego i pomyślnego współżycia dwóch narodów.

* * *

Śmierć ostatniego Piasta, Kazimierza Wielkiego, która nastąpiła w listopadzie 1370 roku, jako wynik nieszczęśliwego wypadku na polowaniu w Puszczy Niepołomickiej, wypadła w okresie, kiedy zakon krzyżacki, usadowiony u ujścia Wisły, osiągnął szczytu swojej potęgi świeckiej. Ówczesny bowiem wielki mistrz Winrych von Kniprode (1351-1382) zrzędnował już całkowicie z prób odrodzenia religijnego

podległej mu instytucji, a swój talent organizatorsko-administracyjny zwrócił ku celom politycznym i gospodarczym. Wprawdzie poziom moralny rycerzy-mnichów uległ wskutek tego dalszemu obniżeniu, lecz z drugiej strony tym bardziej wzrastało zagrożenie sąsiadujących z Krzyżakami państw: Polski i Litwy. Dotychczas bowiem Kazimierz po bezskutecznych próbach odzyskania Pomorza na drodze dyplomatycznej, potrafił w ciągu długich lat utrzymywać poprawne stosunki, z kolejnymi wielkimi mistrzami a ponadto umiejętnie zapobiegał intrygom, jakich nie szczędzili Krzyżacy dla rozniecienia przeciwieństw polsko-litewskich na tle sprawy ruskiej.

Jednak następca i siostrzeniec równocześnie ostatniego Piasta król węgierski Ludwik Andegaweńczyk w swej polityce wobec zakonu krzyżackiego kierował się przede wszystkim względami na ewentualne jej odbicie w stosunkach z Cesarstwem Rzym-

skim Narodu Niemieckiego. Tylko względna krótkotrwałość jego panowania oraz jednocześnie skupienie głównego wysiłku mistrza v. Kniprode około umocnienia stanowiska zakonu na Bałtyku i zapewnienia kupcom pruskim szczególnego uprzywilejowania w handlu angielskim nie dały dojrzeć skutkom egoistycznego postępowania Ludwika. Lecz niebezpieczeństwo pozostawało nadal groźne, albowiem w Krakowie rządy objęła młodociana córka Andegawczyka Jadwiga, w stolicy zaś zakonu — Malborku dochodzili właśnie do głosu ludzie, żądni decydującej i z Polską i z Litwą rozprawy. Spodziewali się oni także, iż stawianie na pierwszym miejscu swoich osobistych celów, czego przykład dawał na Litwie ambitny Witold Kiejstutowicz, znajdzie dalszych naśladowców nie tylko wśród jego rodaków, ale również i w przyległej Polsce.

Te krzyżackie rachuby nie były zupełnie bezpodstawne. Panowanie bowiem Ludwika węgierskiego, który niezbyt często zaglądał do Polski, pozostawiając troskę o jej sprawy najpierw matce — Elżbiecie Łokietkównie, potem zaś kilku zaufanym wielmożom wywołało zanik tej zgodności poglądów politycznych, jaka cechowała współpracowników Kazimierza Wielkiego. Ponadto styczność z dworem budapesztańskim, który był wówczas jednym z najruchliwszych ośrodków dyplomacji europejskiej, przynosiła Polakom sporo korzyści, ale też niejednokrotnie wywierała na nich pewne piętno zobojętnienia wobec spraw narodowych oraz skłonności do przetargów dyplomatycznych. Dlatego to u boku węgierskiej królowny, przybyłej na wawelski zamek i mającej poślubić austriackiego księcia Wilhelma, rozmaite snuto projekty i różnorakie budowano plany.

Wydaje się więc rzeczą pewną, iż myśl zjednoczenia Polski i Litwy musiała pokonać sporo przeszkód na swej drodze, zanim stała się rzeczywistością. Oczywiście osoba młodej władczyni odegrała tu rolę znacznie mniejszą, niż chce tego romantyczna legenda o młodym Niemcu i ponurym litewskim barbarzyńcy, pomiędzy którymi zmuszona była wybierać kilkunastoletnia Jadwiga, jakkolwiek z drugiej strony nie można nie doceniać ostatecznego przeważenia przez nią szali. Zanim to jednak nastąpiło, waga wahała się wcale długo. Małżeństwo bowiem z austriackim księciem zdawało się zapewniać życzliwość Habsburgów względem Polski oraz pomóc w jej sporze z zakonem krzyżackim, gdyż bez odzyskania Gdańska i ujścia Wisły Polska była wciąż jeszcze pozbawiona możliwości

zajęcia odpowiedniego stanowiska w ówczesnej Europie. Trudno było wprawdzie oczekiwać od cesarstwa całkowitego poparcia postulatów polskich, ale przecie inny średniowieczny autorytet, który w swoim czasie mocno popierał Łokietka i Kazimierza — papieństwo, — pochłonięty był skomplikowanymi problemami wewnętrznymi, wynikającymi z tzw. wielkiej schizmy zachodniej.

Wszystkie te „realistyczne” argumenty, rachujące na dobrą wolę obcych w rozwiązaniu żywotnych spraw polskich, nie ostały się wobec koncepcji zupełnie innej, — rozchwiały się wobec pomysłu, który w pierwszej chwili zapowiadał jedynie osłabienie politycznego znaczenia dziedziny. Na zamku krakowskim miałby bowiem zasiąść dotychczasowy pan pogańskiego ludu, bezskutecznie „nawracanego” przez Krzyżaków, którzy swój pobyt nad Bałtykiem uzasadniali tą właśnie „misją”. Głos zaś wielkiego mistrza Zakonu znajdował prawie wszędzie posłuch i niebezpiecznie było lekceważyć go. Zresztą w bezpośrednich stosunkach polskolitewskich było dotąd więcej sporów a nawet otwartych walk, aniżeli dowodów wzajemnego zrozumienia lub współdziałania. Pierwsza taka próba, podjęta przez Władysława Łokietka i Giedyminą, zakończyła się szybko obojętnym zawodem, przyczym odpowiedziałność zań leżała raczej po stronie Polaków.

Lecz w r. 1385 sytuacja była już zupełnie inna i zarówno panowie małopolscy, którzy mieli decydujący głos w sprawach polityki zagranicznej, jak i wielki książę litewski Jagiełło ze swymi doradcami potrafili zrozumieć właściwą istotę oraz konieczność związku obu ich narodów. Układające się strony dały chyba dostatecznie przekonujący dowód umiejętności wyboru należytej drogi i odpowiedniego odróżniania prawdy od przemijających pozorów. Albowiem złudna i zawodna była rachuba na usunięcie krzyżackiego niebezpieczeństwa drogą dyplomatycznych układów, niedaleka zaś przyszłość miała pokazać, że najpewniejszym środkiem zgniecenia zaborczych złowieszczych mnichów jest bój w otwartym polu, — walka pierś w pierś: Grunwald — to prosty skutek unii polsko — litewskiej.

Pierwszą oficjalną oznaką nowych stosunków pomiędzy dwoma państwami stał się układ, jaki przedstawiciele obu stron podpisali w dniu 15 sierpnia 1385 roku na zamku w Krewie. W/g postanowień tego aktu Jagiełło, przyjmując chrzest wraz ze swym ludem oraz poślubiając Jadwigę, stawał się obok niej królem Polski, w

skład której wcielał (w oryginale — „incorporare”) jednocześnie swoje litewskie dziedzictwo.

W r. 1935, w 550-ą rocznicę układu krewskiego odbył się w Wilnie, dawnej stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego, zjazd historyków polskich. W dyskusjach zjazdowych po wielokroć podkreślano konie-

czność odbudowy współżycia polsko-litewskiego.

Dzisiaj, gdy oba narody — litewski i polski — znajdują się chwilowo pod tym samym ciężkim jarzmem czerwonego totalizmu, konieczność współpracy stała się sprawą polącą. Na drodze ku niej przykład Krewa winien odegrać należną sobie rolę.

Paweł de Laval

Wkład Goślickiego do teorii polityki

Może największy wkład Goślickiego (*) do teorii polityki mieści się w tym, co napisał o rządach prawa. Duch prawa przenika książkę „DE OPTIMO SENATORE” w niemiejszym stopniu, niż DE LEGIBUS, dzieło „ostatniego scholastyka” Suareza, który uważał, że prawo jest nieodłączne od polityki, czy REPUBLIKĘ Bodin’a, głoszącego jedność polityki i prawa. Zasługa Polaka leży w tym, że swego SENATORA wydaje on pierwszy.

Goślicki wychodzi z przepisów prawnych, wiążących wszystkich i na nich zamyka swe wnioski. Każde społeczeństwo, twierdzi on, winno posiadać poczucie prawa, ponieważ równa się to sprawiedliwości i uczciwości. Przestrzeganie prawa prowadzi do równowagi, bezpieczeństwa, trwałości ustroju. Goślicki uznaje prawo za jedyny przewodnik w życiu politycznym, za miarę wszelkich poczynani; może być ono łagodzone i mniej lub bardziej dowolnie interpretowane, ale nigdy łamane.

Ciekawa może być interpretacja zasad demokratycznych, opierających się na założeniach prawnych.

Prawdziwa wolność, pisze Goślicki, polega nie na łamaniu prawa, ale na życiu zgodnie z przepisami prawnymi. Pojęcie prawa niejako implikuje pojęcie równości. Prawo w państwie musi być równe dla wszystkich. Zarówno rządzący jak rządzeni winni być posłuszni prawu, w wyniku czego król, nadzorując rządy prawa, jest stale temu prawu podległy a swobody

obywateli są respektowane. Z drugiej strony, przestrzeganie zasady równości, to krok naprzód w realizowaniu rządów prawa. Senator, twierdzi Goślicki, dbając o zasadę równości, umożliwia rządy prawa.

Utrzymanie istniejących praw jest gwarancją stabilizacji. Należy do nich wprowadzać poprawki, natomiast należy unikać zastępowania praw nowymi. W związku z tym Goślicki przytacza pewien sposób na wnioskodawców, zaczerpnięty z historii starożytnej, używany w greckim państwie Lokrów: „Było zwyczajem w państwie Lokrów, że każdy, kto przychodził do senatu z wnioskiem o nowe prawo, miał stryczek na szyi. Jeśli wniosek jego nie został przyjęty, lub był uznany za szkodliwy, niefortunny wnioskodawca natychmiast obwieszon bywał jako zwyczajny, dodajmy, jak to się dzisiaj mówi „wróg bezpieczeństwa publicznego”.

Widzieliśmy wyżej jak w wywodach Goślickiego zazębiają się zasady rządów prawa i równości — jednej z głównych zasad demokratycznych. Dyssertacje na temat rządów prawa mogą posłużyć do zrozumienia podstawowych zasad demokracji.

Demokracja nie może być wprowadzona w życie w kraju, w którym moralność społeczeństwa nie stoi na pewnym poziomie. Demokracja nie może istnieć bez osobistej wolności. Z prawdziwą zaś wolnością osobistą musi się łączyć życie rzeczywiście moralne. Znają je ludzie, którym nie obce jest panowanie nad własnymi namiętnościami. Prawdziwa wolność implikuje samo-kontrolę i w istocie jej leży uznanie i przyjęcie zasad prawnych, a w żadnym wypadku nie ich negowanie. Jest to wolność życia dojrzałego, świadomego, wolność polegająca na ograniczeniu, wolność leżąca w granicach porządku społecznego. Nadużywanie wolności ludziom

*) Wawrzyniec Grzymała Goślicki (Laurentius Grimaldus Goslivius), 1533-1607, polski mąż stanu, książę kościoła, pisarz polityczny. Studiował m. in. w Bolonii i Padwie. W r. 1568 wydał w Wenecji swe najważniejsze dzieło: traktat pt. „De Optimo Senatore”, który spotkał się z wielkim uznaniem w Italii, Szwajcarii i Anglii.

naturalnej, wolności kaprysu, musi podminowywać porządek społeczny a z nim demokratyczny ustrój.

DOCIEKANIA POLITYCZNE I HISTORIA

Goślicki rozumie, że z punktu widzenia akcji, jaką należy przedsięwziąć, na zagadnienia polityczne trzeba patrzeć przez pryzmat historii.

Historia bowiem nie jest nauką o faktach niezmiennych, lecz o nieustannych przemianach — procesach, których znaczenie stara się ustalić historyk, szukając związków między przeszłością a teraźniejszością. Zagadnienia polityczne istnieją na tle historii i dlatego polityk musi posiadać historyczną wiedzę przemian — procesów, czyli zależności pomiędzy przeszłością a teraźniejszością.

Człowiek jest głęboko związany z przeszłością, jest jej produktem, jest niejako w niej pogrążony, uciec od niej nie może nigdy. Wynikałoby stąd, że nie może przedsięwziąć nic nowego bez odrzucenia przeszłości, bez wyniesienia się ponad nią. W rzeczywistości człowiek nigdy nie stwarza całkowicie nowych warunków i sytuacji, materiał bowiem do tego celu zawsze czerpie z przeszłości.

Historyczne podejście do zagadnień określić zatem będzie można następująco: jesteśmy wytworami przeszłości i żyjemy pogrążeni w przeszłości, która zawarta jest w teraźniejszości. Bez przeszłości, wziętej jako punkt wyjściowy, nie ma mowy o stworzeniu nowej akcji. Dla Goślickiego — filozofa, czy Goślickiego — historyka celem jest zawsze i jedynie akcja.

Jeśli pod terminem kultury historycznej rozumiemy utrzymanie przy życiu świadomości przeszłości, z którą nieodłącznie związana jest teraźniejszość, Goślicki posiada tę kulturę. Czytając dzieło DE OPTIMO SENATORE ma się wrażenie, że autor jego rozumie, że posiadanie kultury historycznej jest konieczne dla życia moralnego i politycznego, które w wypadku jej nieobecności ubożeje, traci na aktywności. Polityk ma unikać wszelkiej działalności o ile nie posiada świadomości historycznej. Wydawane sądów historycznych jest nieodłącznie od sfery akcji i nie mogą ich unikać ci, którzy się do akcji przygotowują. Przynoszą one podwójną korzyść — pozbawiają nas balastów przeszłości i są bezpośrednim wprowadzeniem w sferę politycznego czynu.

FILOZOFIA PRAKTYKI

Reasumując, wedle teorii polskiego uczonego, istnieją trzy szkoły, które poznać musi dobry polityk: szkoła filozofii, historii i praktyki.

U Goślickiego, polityk, który jest filozofem-praktykiem, zanim osiągnie doskonałość wiedzy, musi przejść szkołę historii. Stajemy tu wobec realizmu politycznego polskiego pisarza. Sfera myśli jest nieodłączna od sfery akcji. Filozofia dla filozofii nie posiada życiowego znaczenia, wiedza dla wiedzy jest fikcją, rzeczą nierealną i zgoła niepotrzebną. Natomiast konieczna jest wiedza dla praktyki w tym samym stopniu co praktyka dla wiedzy teoretycznej. Obie bowiem tworzą jedność.

Cnoty, w przekonaniu Goślickiego, nabierają pełnego blasku dopiero u człowieka czynu. Żyć tylko w jednej z wymienionych sfer i dla niej samej, znaczy zaprzeczyć jedności, jaka między obydwoma sferami istnieje, znaczy być jednostką niedojrzałą do życia politycznego. Oto jest zasadniczy punkt teorii Goślickiego.

WSKAZÓWKI PRAKTYCZNE

Książka Goślickiego dostarcza nie tylko sporo materiału do rozważań ściśle teoretycznych; zarysowuje ona koncepcje o znaczeniu praktycznym.

Goślicki po wielokroć wyraża zdanie, iż zmiany i inowacje grożą nieporządkiem, zamieszaniem, anarchią. Podchodząc do zagadnienia z punktu widzenia historycznego, utrzymuje, że Rzeczpospolita uważała wszelką próbę targnięcia się na przyjęte prawa niemal za świętokradztwo. Stąd wynika pewien konserwyzm autora DE OPTIMO SENATORE, polegający na utrzymaniu umów, które wiążą ludzi, zasad przez ludzi przyjętych, instytucji i zwyczajów, odzwierciadlających doświadczenie wieków. Zadaniem człowieka, który stworzył pewne zasady, jest ich utrzymywanie, bowiem gdy pocznie on łamać własne umowy i kontrakty, ignorować obyczaje, zdusi wtedy cywilizację. Dobry obywatel winien rozumieć znaczenie twórczego konserwyzmu, który pociąga za sobą pojmowanie istoty dawnych błędów i następnie ich naprawę. Znaczy to planowe przebudowywanie gmachu bez uproszczonej i często zgubnej metody burzenia go do fundamentów.

Władysław Stankiewicz

Miesiąc w krainie absurdu

„BĘDZIESZ SIĘ BŁĄKAŁ
JAK DZIKI ZWIERZ”

Kiedy po kapitulacji Niemiec armie Sprzymierzonych wchodziły w głąb Rzeszy, co raz spotykały one na swej drodze obozy koncentracyjne, przepełnione tysiącami ludzi, spędzonych tutaj w swoim czasie z okupowanych przez Niemców państw środkowej Europy. Polacy, jak zwykle, stanowili wśród nich część przeważającą.

W którymś z tych obozów znaleziono redaktora Wojciecha Z., jednego z nielicznych dziennikarzy polskich, pozostałych obecnie przy życiu.

Bo trzeba wiedzieć, że z warszawskiego syndykatu dziennikarzy, liczącego przed 1939 rokiem około 350 członków, żyje dziś 30-40 osób; 90% tych ludzi, którzy w państwach Zachodu są wyrazicielami opinii publicznej i odgrywają tak ważną rolę społeczną, — w polskim narodzie nie istnieje. Zginęli. W ciągu sześciu lat niemieckiej i sowieckiej okupacji zostali oni wymordowani po łagrach, po obozach i więzieniach, wystrzelani przy likwidacji tajnych drukarni.

Bo dziennikarz polski — i o tym nie wolno nam zapominać! — za nielicznymi wyjątkami, po zajęciu Polski przez okupantów, wszedł do podziemi i swoją wiedzę fachową oddał na usługi nielegalnej prasy.

Otóż tak się złożyło, że pan Wojciech Z., ekonomista i publicysta o wyrobionym przed wojną nazwisku, wyszedł z niemieckich rąk cało.

Redaktor Z. jest człowiekiem w sile wieku, pełnym energii i zapału: umie i chce pracować.

Powstała tedy kwestia zatrudnienia jednego polskiego dziennikarza.

Polskiej prasy „cywilnej”, jak wiadomo, nie ma. Blisko dwa miliony Polaków rozrzuconych w większych lub mniejszych skupiskach Rzeszy i zachodniej Europy nie mają żadnego pisma. Nie wolno im mieć. Nie mają prawa do stworzenia wspólnej trybuny prasowej dla wypowiedzania swych poglądów na bieżące wydarzenia, dla zajmowania stanowiska wobec tego, co się z nimi robi, dla porozumiewania się między sobą, dla dowiadywania się nawzajem o sobie.

Niemcy, wczorajszy wróg, sprawcy tej sześćdziesięcioletniej makabry, mają już dzienniki w każdym okręgu, już uzyskali prawo

zrzeszania się i tworzenia organizacji nie tylko zawodowych, lecz i politycznych.

Dwa miliony Polaków, którzy ramię w ramię szli z Anglikami i Amerykanami do ostatniej bitwy na ziemi niemieckiej, którzy walczyli w szeregach Sprzymierzonych od pierwszego do ostatniego dnia wojny, — nie mają tych praw, co pokonani Niemcy, nie wolno im połączyć się w żadną szerszą organizację, nie wolno wydawać własnej prasy.

Prasa polska istnieje jeszcze tylko w wojsku i dla wojska. Istnieje tylko dla żołnierzy I-ej Dywizji Pancernej, stojącej na okupacji Rzeszy przy holenderskiej granicy.

Na gazetach tych widnieje nadruk: „This paper is only for active members of A.E.F. — pismo to jest tylko dla wojskowych służby czynnej”.

I tylko w jednym z tych „pism tylko dla wojskowych służby czynnej” może jeszcze znaleźć pracę dziennikarz polski...

W małym miasteczku niemieckim — Meppen — gdzie się mieści Dowództwo Polskiej Pierwszej Dywizji Pancernej, w zacisznym lokalu klubu oficerskiego słucham właśnie, jak dwaj reprezentanci tej polskiej prasy wojskowej — ten z Dywizji z Niemiec i ten z Korpusu z Włoch — rozważają między sobą możliwości zatrudnienia w którymś z pism żołnierskich redaktora Z.

Każdy z nich już by go brał do siebie, ale... ale są nieprzychylnie trudności: Z. ma ze sobą żonę, dwóch synków w wieku 7-9 lat, matkę żony.

Jakimś nieludzkim wysiłkiem sprytu, przebiegłości i uczucia zdołał tych swoich najbliższych przeprowadzić szczęśliwie przez 5 lat okupacji niemieckiej, nie pogubił ich w czasie zstania do Rzeszy — i nie chce rozstać się z nimi teraz.

A w tym właśnie leży największy szkopał!

— Jego weźmie się do wojska — mówi prasowiec z Pancernej — żonę da się ulokować w PSK, — ale co z dziećmi i teściową?

— Dzieci możnaby było oddać do szkoły w Palestynie, a teściową... teściową może uda się wysłać do Nairobi?... odpowiada ten z Korpusu.

— Nie, oni za nic nie chcą się rozłączyć...

— No, to może da się zrobić tak...

Dwaj życzliwi ludzie, zainteresowani w

uzyskaniu cennego współpracownika, rozważają troskliwie i rzeczowo zagadnienie, które w tych specyficznych warunkach polskich urasta do problemu kwadratury koła: jak zatrudnić w prasie dziennikarza i stworzyć mu takie warunki, żeby mógł mieszkać razem z rodziną!

A ja, kiedy słucham tej rozmowy, czuję, jak czerwona fala gniewu zalewa mi mózg i ślepi oczy. Nie rozumiem już nic z tych słów, rozumiem tylko to jedno: POLAK NIE MA PRAWA MIEĆ RODZINY!

Przez 6 lat zjednoczone siły barbarii niemieckiej i rosyjskiej pracowały usilnie i planowo nad zniszczeniem rodziny polskiej.

Kiedy uczeni fizycy dopiero w żmudnych badaniach dochodzili do świadomości, że rozbijając atomy można przekształcać pierwiastki chemiczne jedne w drugie, w mrocznych zakamarkach piekielnych laboratoriów Gestapo i NKWD wiadano od dawna, że rozbijając podstawową komórkę narodu — rodzinę — można go zmienić nie do poznania.

I przez 6 lat pędząc setki tysięcy Polaków do więzień łagrów i obozów koncentracyjnych, wywożąc miliony na przymusowe roboty do Niemiec i w tajgi syberyjskie, myśłano przede wszystkim o tym, ażeby oddzielić męża od żony, dzieci rozłączyć z rodzicami.

Bo to był najistotniejszy cel okupantów: POLAK NIE MA PRAWA MIEĆ RODZINY! Ale... ale mija już oto pół roku od zakończenia wojny, pokonane Niemcy organizują się już i, tylko w Polsce nic się nie zmieniło, tylko Polaków obowiązuje nadal zbójce prawo okupantów: Polakom nie wolno nadal mieć rodziny...

Kiedys, wiele lat temu, jeszcze przed pierwszą wojną był taki cichy i subtelny, żyjący w mroku gwiazd, poeta — Tadeusz Miciński. Miciński dawno już nie żyje. W 1918 roku zginął, załuczony kijami przez „rewolucyjny proletariat” gdzieś na szerokich stepach nadwołżańskich, kiedy usiłował przemyknąć się do Polski z carskiej jeszcze zsyłki z Syberii.

Od lat, od wielu lat nie miałem w ręku żadnej książki Micińskiego, nie słyszałem żadnego jego wiersza. I oto teraz, w tym niemieckim Meppen, z tej pluchy jesiennej za oknem, z tych strzępów słuchanej rozmowy, wypływa nagle i brzęczy natrętnie w uszach ułamek zapomnianego wiersza, ułamek jakiegoś poematu Micińskiego:

...ty, budowniczy nadgwiezdnych wież
będziesz się błąkał jak dziki zwierzę...

Ten strzęp wiersza, którego ani początku, ani końca nie mogę przypomnieć, ułamek z mroku gwiazd zaproszony, będzie odtąd mi towarzyszyć w czasie całej mojej wędrówki po obozach polskich w Niemczech, po tych stacjach krzyżowych polskiej Golgoty.

Bo po tych obozach, rozsianych setkami wśród osiedli żyjących już normalnym życiem rodzinnym Niemców, „błąka się jak dziki zwierzę” przeszło milion Polaków. Przepędzani z miejsca na miejsce niby żywy inwentarz, żyją oni, koczują po Rzeszy bez spokoju, bez jutra, bez nadziei jakiegokolwiek stabilizacji.

Kiedy zaś doprowadzeni do ostateczności wybuchną skargą, protestem, buntem, — słyszą gorzkie słowa o niewdzięczności, cierpkie uwagi, „że Niemcy są czynnikiem ładu i porządku, a Polacy stanowią wicherzycielski element powodujący stały zamęt i chaos”. A wreszcie, jako ostateczny argument w tych sporach o minimum stabilizacji życia, pada niecierpliwe pytanie: „Czemu nie wracacie do Polski?” — Czemu nie wracacie? Wracajcie do kraju — mówią im ci, którzy albo nie wiedzą, albo udają że nie wiedzą, że Polska będzie dla nich tylko stacją zborną tylko punktem przeładunkowym do dalszej drogi w tundry i tajgi Syberii, że to, co w imię niemieckiego nacjonalizmu zapowiadał Hitler, że „Polacy mogą przenieść się za Ural”, dziś, w imię „prawdziwej demokracji” realizuje Stalin...

O tym, że te rzesze Polaków znalazły się tu nie z własnej woli, że spędzono je w głąb Niemiec na przymusowe roboty, do koncentracyjnych obozów i więzień — o tym zdaje się już nikt nie pamiętać. Za to widzi się dziś tylko ich wielką masę, widzi się trudności, jakie stwarzają oni przy stabilizowaniu i normowaniu życia niemieckiego i — chce się pozbyć kłopotu z głowy.

Nie wiem, jak się ostatecznie rostrzygną losy redaktora Z. Może — przy dużym szczęściu — uda mu się i znaleźć pracę i zatrzymać przy sobie rodzinę. Ale, jeśli mu się to powiedzie, — będzie to tylko jego indywidualnym powodzeniem. Bowiem dla całości Polaków w Rzeszy Niemieckiej w dalszym ciągu nie ma obiektywnych warunków dla stworzenia bodaj pozorów normalnego życia.

Tadeusz Zajęczkowski

Gusta

Gusta, tajone gusta,
wianuszki z rozedrodnika,
jabłonki jałowe w powróżach
i śmierć o próg się polyka.

Nad wrotami umęczone jastrzębie
odezwinia węglami i chlebem,
ulonęło — zła woda w gębie —
i pryskają, zamawiają, kolebią..

Dobre ziota, dziewanna i ślaz,
czarny bez — a jak kwitnie to biało —
chmiel zielony po stodole laży,
zadurzyło i w sitowie pognęło...

W gustach ręce po łokcie i głowa...
Urzec łatwo, byle co — byle psota —
zamawiajcie, odczyniajcie od nowa —
na psa urok, na kota... na kota...

Bronisław Przytułski

ANKIETA REDAKCJI „NA SZLAKU KRESOWEJ”

W pracowni literatów polskich

Po wypowiedziach Herminii Naglerowej, Gustawa Morcinka i Melchiora Wankowicza w poprzednim nrze „Na szlaku Kresowej” — obecnie informujemy naszych czytelników o zamierzeniach współpracowników naszego pisma: Gustawa Herling — Grudzińskiego, Artura Międzyrzeckiego i Jana Ostrowskiego.

Gustaw HERLING — GRUDZIŃSKI:

Po wydaniu „Żywych i umarłych” oraz napisaniu przedmowy do „Filozofii Romantyzmu Polskiego” Brzozowskiego zabrałem się do opracowania jednej rzeczy z gatunku twórczości „użytkowej” i raczej kompilacyjnej niż samodzielnej. Będzie to 200-300-stronicowy skrót czterotomowego dzieła Józefa Chałasińskiego „Młode pokolenie chłopów” (opracowanie socjologiczne).

Udało mi się nareszcie przełamać pewne opory psychiczne i rozpocząć pisanie książki — studium beletrystycznego (w formie paru opowiadań i esejów) o Rosji. Tymczasem są to jednak tylko wprawki przygotowawcze, z których jedną odważyć się chyba w niedługim czasie ogłosić w czasopiśmie, żeby się temu przyjrzeć w druku.

Poza tym opracowuję również wspólnie z Włodzimierzem Sznarbachowskim obszerny „Wybór pism” Stanisława Brzozowskiego.

Jan OSTROWSKI

Na marginesie pracy członka redakcji „Orła Białego” zdołałem ogłosić ostatnio trzy artykuły o „Akademii imienia Adama Mickiewicza w Bolonii” w „Na szlaku Kresowej” i siódmy z rzędu felieton z cyklu pt. „Juliusz Słowacki na naszym szlaku”, drukowanego na łamach „Orła” i „Ochotniczek”.

Sprawozdaniem z „Mirandoliny” Goldoniego powróciłem do omawiania działalności „Teatru Dramatycznego 2. Korpusu” i przystąpiłem do zapoznania się z obecnym stanem teatru włoskiego. Na przyszłość zamierzam wykończyć i wydać rozprawę pt. „Co to jest praca?”.

Artur MIĘDZYRZECKI

Przygotowałem do druku tomik poezji pt. „Słowo gniewne” — obejmujący wiersze z czasów kampanii włoskiej.

W najbliższej przyszłości chciałbym zebrać nieco materiału historycznego z okresu Dąbrowskiego. Wydaje mi się to konieczne do ukończenia zaczętych już szkiców poetyckich o Legionach Polskich we Włoszech. Praca ta jednak jest w wysokim stopniu uzależniona od umożliwienia mi korzystania z biblioteki.

Panorama sztuki włoskiej

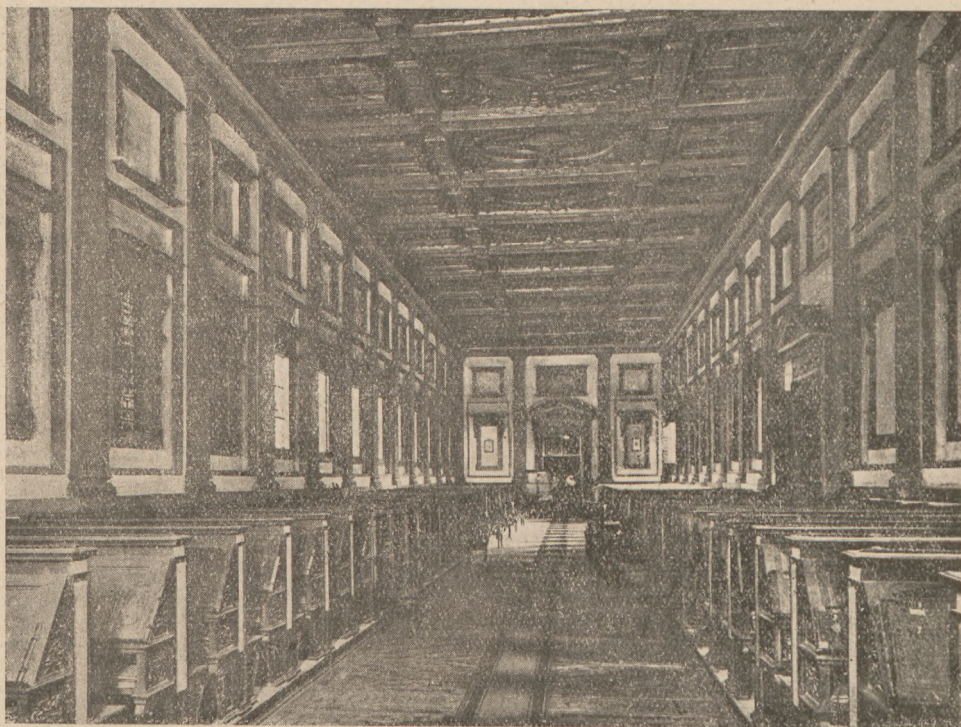
III.

Między Odrodzeniem i następną epoką artystyczną nie da się przeprowadzić w czasie wyraźnej linii granicznej. Można zresztą powiedzieć, że w żadnym okresie rozwoju sztuki, w żadnej epoce, nie następuje gwałtowny przeskok. To zdarza się tylko w uproszczonych wykładach autorów kompilacyjnych podręczników historii sztuki.

Już w drugiej połowie XVI w. można zauważyć objawy powolnego rozkładu i

artystycznej, u której można by stwierdzić prawdziwe objawy postępu.

Jeśli pod względem historycznym manierę artystyczną XVI wieku przypisuje się wpływom hiszpańskim we Włoszech, to pod względem artystycznym zaródź nowych tendencji tkwi już w twórczości wielkich mistrzów poprzedniego stulecia. Dziś jest już faktem ustalonym przez krytykę, że Michała Anioła należy uznać za bezpośredniego zwiastuna stylu barokowego.



Florencja, Michał Anioł: „Biblioteca Laurenziana”

stopniowego rozprężenia. Wydaje się, iż artyści tracą wszelkie poczucie harmonii między tym, co składa się na pomysł i tym, co się składa na realizację. Daje się zauważyć rodzaj przesyty i zmęczenia, wywołanego w dużym stopniu przez trudności związane z przezwyciężeniem wizji stworzonych przez Michała Anioła, Rafaela, Tycjana. Krzewić się zaczynają epigoni, uczniowie i kontynuatorzy mistrzów Odrodzenia. Poza rzadkimi osobowościami artystycznymi, wciąż podlegającymi zresztą dyskusji, oprócz Veronese i Tintoretto, nie spotykamy w tej epoce żadnej osobowości

Wydaje mi się, że ten nowy styl rodzi się raczej z rozprężenia się, z załamania się poprzednio istniejącego stylu, aniżeli z wewnętrznej i nieodpartej konieczności powstania nowego typu wizji plastycznej. Przyszedł raczej jako rzecz narzucona, niż upragniona. Bardziej odpowiada gustom i pojęciom swej epoki, aniżeli jest sam stylem narzucającym gusta i idee swej epoki. I w tym względzie różni się wyraźnie od Odrodzenia i w ogóle od wszystkich innych epok sztuki włoskiej.

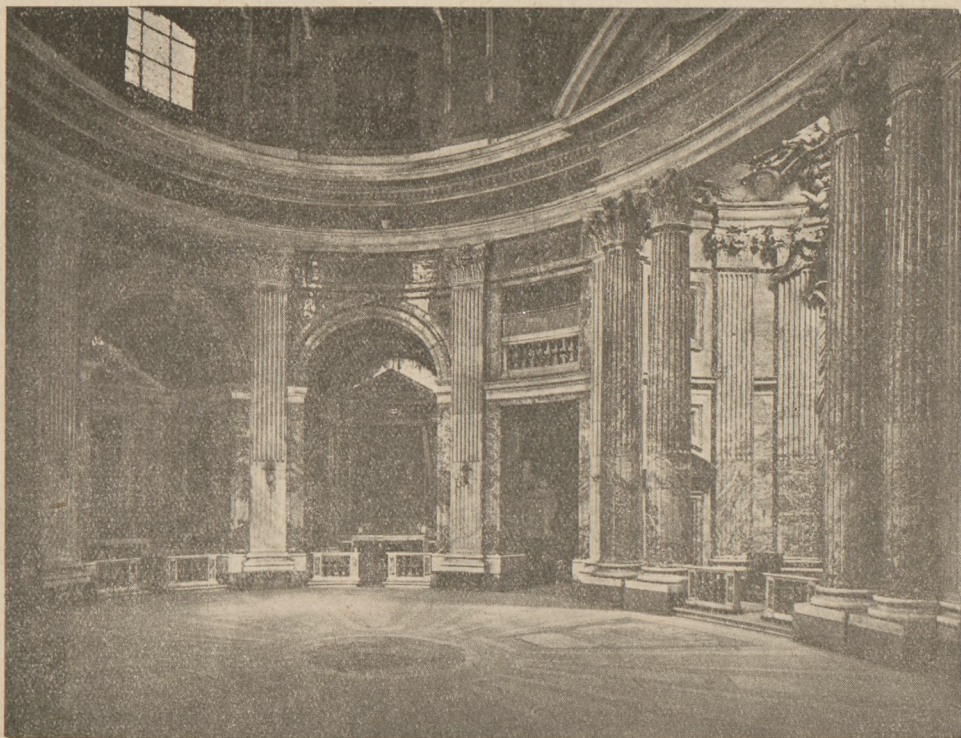
Zresztą należy zauważyć, że „barok” jako zjawisko artystyczne nie jest niczym



Rzym, kościół N. M. P. Zwycięskiej.
Lorenzo Bernini: „Ekstaza Św. Teresy”



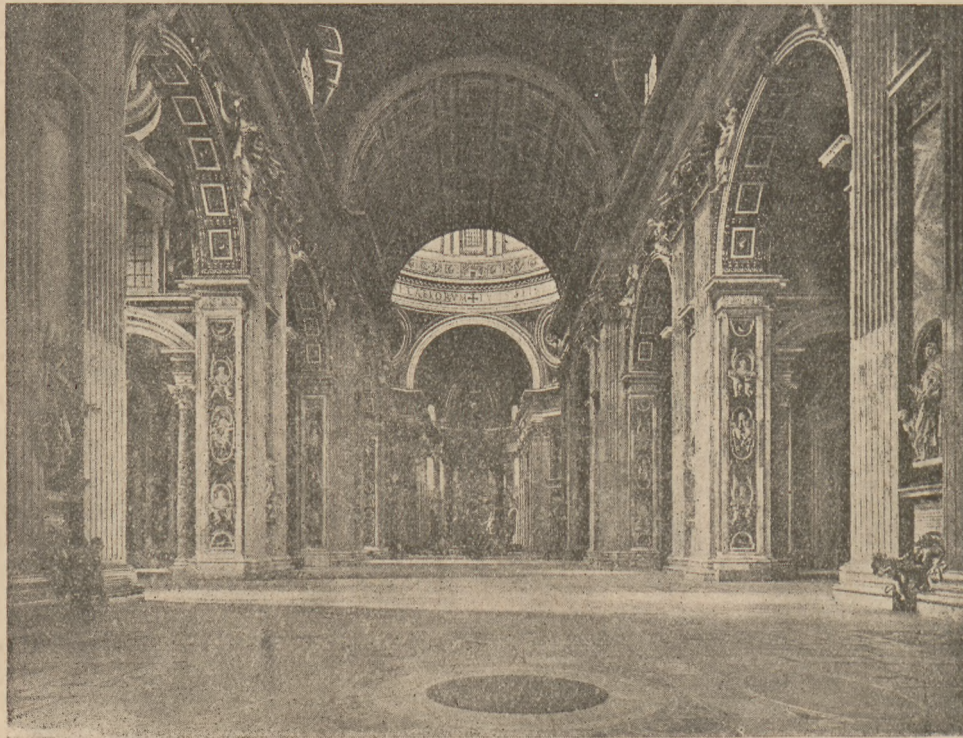
Rzym, Villa Borghese.
Lorenzo Bernini: „Apollo i Dafne”



Rzym. Lorenzo Bernini: kościół Św. Andrzeja przy Kwirynale



Rzym, Bazylika Św. Cecylii, Stefano Maderno: „Św. Cecylia”



Rzym, Stefano Maderno i Lorenzo Bernini: Bazylika Św. Piotra



Rzym, Pinakoteka Watykańska. Caravaggio: „Zaparcie się Św. Piotra”



Rzym, Pałac Farnese. Annibale Carracci: „Tryumf Bachusa i Arianny”



*Wenecja. Baldassare Longhena:
kościół „Santa Maria della Salute”*



*Bolonia, Pinakoteka.
Guido Reni: „Portret matki”*



*Drezno, Pinakoteka.
Carlo Dolci: „Sw. Cecylia”*

nowym. Także sztuka grecko-rzymska miała swój barok. Barokiem — naszym zdaniem — nazywa się okres sztuki, w którym przeważa linia krzywa nad prostą, linia pogmatwana — nad linią harmonijną, gra przestrzenna mas nad jasnością powierzchni. W baroku forma nabiera funkcji czynnika zadziwiającego: zwraca się nie tyle do rozumu lub smaku, co do próżności i chęci olśniewania.

Po zwycięstwie kontrreformacji, Kościół wybiera i do pewnego stopnia stwarza ten styl, dla uczczenia swego tryumfu. Ale jest to tryumf teatralny, z drugiego aktu „Aidy”, ze zmysłowym pogmatwaniem linii, bogactwem marmurów i brązów, nieopanowaną potrzebą blightu, nieustającym niepokojem mas. Jest to wiek Mariniego, paradoksalnego werbalizmu, absurdałnej obrazowości w poszukiwaniu rzeczy nadzwyczajnych i niepowszednich, sztuczności i pompy. I w tym wieku nowa tendencja w sztuce skończyłaby się niechybnie fiaskiem, gdyby nie pojawiła się osobowość artystyczna zdolna przemienić w sztukę to, co mogło być tylko modą; mowa tu o Janie Wawrzyńcu Berninim (1598-1680).

Ale należy powrócić do Michała Anioła, aby zrozumieć jak barok został powoli przygotowany. W sztuce tego wielkiego twórcy jest element „atletyzmu”. Słowo to może się nie podobać, ale jest słowne. Jako malarz, rzeźbiarz, architekt, we wszystkich dziedzinach swej działalności artystycznej potrafił on swoim poszukiwaniem nadać cechy dynamiczne i dążenie jego jest zawsze dążeniem do przeczwyciężenia czegoś, do ucieczki od powszedniości, jest głębokim wstrętem do wszystkiego, co jest powtarzane. W genialnym skojarzeniu pomysłu z formą — jego postacie ludzkie są całe samą potęgą i rozmachem; nie tyle wyolbrzymieniem idei, co raczej wewnętrzną siłą tej idei, wyrażonej w postaci ludzkiej.

Tragedia, przegnębienie, ból, jak to już widzieliśmy w „Piecie” Palestriny — są u niego już tylko dynamiką i potęgą. On jest niezdolny do tworzenia poza kategoriami rzeczy olbrzymich i to był powód, dlaczego tyle jego dzieł nie mogło być wykonanych, zarówno spośród projektów architektonicznych, czy w zakresie rzeźby (np. Biblioteka Wawrzyńca Medyceusza i Grób Juliusza II), jak i w malarstwie (szkie „Bitwy w Cascine” który, jako fresk, miał zdobić ściany Starego Pałacu we Florencji). Chciał on wyjść poza obręb tego, co ludzkie, nie licząc się z tym, co w człowieku, śmiertelniku, jest możliwe.

Otóż tę postawę, która w jego dziełach

doprowadzała do osiągnięć artystycznych na największą miarę, nie mogli naśladować jego wielbiciel i współcześni mu artyści. Kierunek Michała Anioła w malarstwie i rzeźbie, tj. próby pomniejszych artystów przekalkowania zarysów dzieł mistrza, doprowadziły do bardzo niebezpiecznego zachwiania równowagi. Artyści myśleli, że wystarczy tworzyć „wielkie” postacie, aby wyrazić wielkie sprawy. To oczywisty błąd. Vasari jest tego typowym przykładem.

Ale jeszcze ciekawsze jest prześledzić wpływ kierunku Michała Anioła na wielkich artystów. Tintoretto należy do twórców malarstwa nowoczesnego i szkoła wenecka zawdzięcza mu nieśmiertelne arcydzieła. Otóż ten geniusz, pełen zamiętu i niepokoju wewnętrznego, poszukujący ciągle nowych odmian w sztuce, był także tym, który w późnym wieku uległ wpływowi Michała Anioła. Nie tyle może uległ wpływowi, ile usiłował z nim się zrównać, — aby wykazać Włochom, że mu w niczym nie ustępuje... To zapoczątkowało tragiczną katastrofę, widoczną na jego wielkim płótnie zatytułowanym „Raj”, którym chciał rywalizować z „Sądem Ostatecznym” Michała Anioła. Tintoretto w tym swoim dziele zgubił się. On, wielki twórca, stał się czymś mniejszym od prowincjonalnego pacykarza. Sądził on, że aby dorównać Michałowi Aniołowi, wystarczy tworzyć postacie potężne, duże, rozrzucone w ruchu masy, wielkie gesty. To nie mogło wystarczyć, aby dorównać Michałowi Aniołowi. Ale wystarczyło, aby przygotować epokę baroku.

Przedsiónek Biblioteki Wawrzyńca we Florencji, dzieło Michała Anioła — (pomysł datuje się z roku 1524.), samo wystarczy, aby ujawnić wartość oddziaływania masy. W tym tkwi już zaródz baroku.

Największym geniuszem epoki baroku włoskiego pozostał jednak dotychczas Jan Wawrzyniec Bernini, który też był architektem, rzeźbiarzem i malarzem. Można go nazwać twórcą nowego oblicza Rzymu, miasta, w którym barok rozkwita w całej swojej świetności, zarówno pod względem harmonii, jak i przesady.

Ale jego największa zasługa polega na tym, że zebrał nowe prądy powstałe z rozpręgania się formy u epigonów Odrodzenia, oraz, że zamienił to, co było rozkładem, dekadencją na twórczy ruch artystyczny, że zatem uporządkował, zesłoił i wytyczył zasady tego ruchu, że wprowadził harmonię do tego chaosu, oraz myśl do panującej bezmyślności.

Odmiany baroku są tak liczne, jak liczne są prowincje Włoch, jakkolwiek formuła,

by „olśnić”, „zadziwić” jest wszędzie ta sama. Obok Berniniego mamy wielkie postacie Franciszka Borominiego (1599-1667) — architekta, Stefana Maderno (1576-1636) — rzeźbiarza, Aleksandra Algardi (1595-1654) — architekta, malarza i rzeźbiarza.

Obok Berniniego wiek XVII miał swego wielkiego geniusza w dziedzinie malarstwa, mianowicie Michała Anioła da Caravaggio (1573-1610), u którego kanony barokowe osiągnęły swój najwyższy wyraz w sztuce. Jego wizja jest naturalistyczna, gwałtowna, brutalna, jego Chrystusowie są ludźmi z tłumem, jego święci mają coś z tragarzy. Typy są zawsze silne i brutalne.

Ale nie jest to tylko pusta maniera zwolenników kierunku Michała Anioła. To jest sztuka. W pewnym znaczeniu jest to ponowne odkrycie sztuki. Nielubiany przez współczesnych, nierozumiany później, został Caravaggio odnaleziony przez nowocześniejszą krytykę. Jego przykład stał się zbawienny dla malarzy jego epoki, gdyż skłonił on ich znowu do badania prawdy i przestrzegania zasad nowej estetyki w pomysłach, w rysunku, w kolorze i świetle.

Współcześni jednak przeciwstawiali jemu malarza o dużo mniejszych zasługach, ale przepojonego smakiem swej epoki — Anniabala Caracci'ego (1560-1609), u którego nie ma twórczego malarstwa, lecz tylko zręczny eklektyzm, umiejętność brania trochę tu, trochę tam, od wielkich malarzy z przeszłości...

Od Caraccich (bo było ich trzech braci — wszyscy malarze) poczęło się typowe malarstwo tego stulecia, które przyniosło ze sobą nazwiska powszechnie znane, choć niezbyt słusznie lubiane: Guido Reni

(1575-1642), który ma niewiele rzeczy szczęśliwych, Domenikino (1581-1641), Carlo Dolci (1616-1686) i wielka rzesza pomniejszych malarzy „rodzajowych”, którzy od Caravaggio nabrali ochoty do badania prawdy, nie umiając jednak zamienić tego w prawdziwe osiągnięcie artystyczne.

Ale wiek XVII nie daje się ująć w jednym sądzie ogólnym o wszystkich dziedzinach sztuki. Traktowany jako organiczna całość wydaje się logicznym wykładnikiem epoki, która z przepychu i pompy uczyniła nową formę żywą, która niewątpliwie też nie może zadowolić prawdziwych wymagań estetycznych, czyli nie może podobać się komuś, kto szuka w sztuce głębszego znaczenia, a nie tylko prostego echa mody.

Ale jeśli rozważać go będziemy w twórczości poszczególnych jego artystów, w ich osobistych poszukiwaniach, w ich własnych okresach życia, to okaże się, że wiek XVII również nie uchybił szczytnym tradycjom artystycznym Włoch. W osobowościach takich, jak Wawrzyńca Berniniego oraz Caravaggio, a także Bernarda Strozzi (malarza) lub Guarcino czy Salvatore Rosa, wielki duch twórczy narodu włoskiego jest w stanie pełnego rozkwitu.

Toteż powierzchowne jest mówienie o tym stuleciu jako o okresie dekadencji, upadku sztuki — w porównaniu z Odrodzeniem. Bo również i wiek XVII jest okresem przezwyciężania, prowadzącym do nowych zdobyczy. Bo to on przecież przygotował drogi wiodące do sztuki XVIII wieku, w którym malarstwo włoskie miało zupełnie nieprzewidziane osiągnięcia.

Carlo Verdiani

Czas

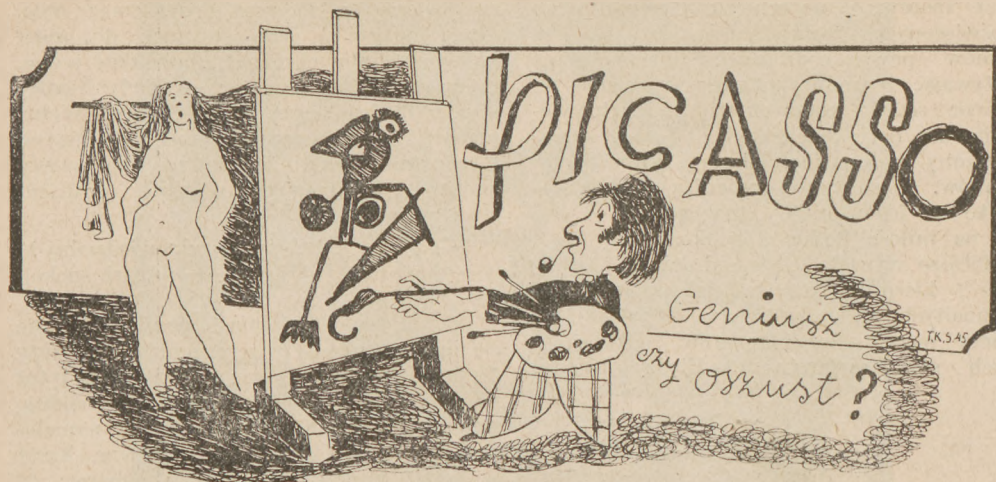
*Bolisz mnie tajnie, głębinie,
— zbyt straszliwie, by mówić ci o tym —
ty — co wszystko powoli zabijasz,
ty — co wszystko zapętniasz z powrotem...
Wciskający się zawsze i wszędzie,
który tym trwasz jedynie — że mijasz,
który jesteś — który jeszcze będziesz...
— Jakże mnie bolisz głębinie...*

*Czy to wtedy, gdy tętnisz w zegarze,
czy gdy gwiazd złote wiry rozcierasz,
kiedy deszczem podzwaniaś mi w rynnie,
kiedy się kto rodzi — czy umiera,
gdy brzdami znajome tniesz twarze,
wiek za wiekiem, jak skiby odkładasz...*

*Kiedy płynnie, sennie, bełkotliwie,
jakaś woda po kamykach gada,
kiedy wiem, że mnie warstwą przypada
chwil bezszelestne igliwie —*

*bolisz mnie — bolisz do kości,
bolisz — aż w oczach mi ciemno
— straszliwszy, niż pojąć da się —
który jesteś za mną i przede mną,
który jesteś we mnie i poza mną,
który jesteś — choć nie ma cię właśnie...
Ty — w płyn lotny skroplona Wieczności!
Czasie!*

Beata Obertyńska



W październiku 1881 r. w Maladze urodził się Pablo Picasso. Ojciec jego Ruiz Blasco, nauczyciel rysunku, pochodził z baskijskiej rodziny. Pablo po matce odziedziczył nazwisko (Picasso) i pod tym nazwiskiem dziś, jako 64-letni mężczyzna rozpalili do czerwoności krytyków i miłośników sztuki brytyjskiej, bo szary człowiek (sądząc z twarzy publiczności na wystawie Picassa) jest wyraźnie zaskoczony i zazenowany nową sztuką.

Pablo malował już mając lat 13. Trudno powiedzieć, czy w tym wieku Pablo malował tak, że ojciec jego mógłby mieć jakieś podstawy do niepokoju co wyrośnie z tego utalentowanego dziecka. W roku 1895 wstąpił do Szkoły Sztuk Pięknych w Barcelonie, a w roku 1900 jako 19-letni młodzieniec przyjechał do Paryża. Pracował do roku 1904 częściowo w Hiszpanii, częściowo w Paryżu. W pięć lat później osiedlił się na Montmartre w drewnianym domku przy Rue Ravignon (obecnie: Rue Boudeau) — zwanym: „Statek-pralnia”. Przyjaźnił się w tym czasie z Maxem Jacob, Duńczykiem Van Dongenem, poetą francuskim Guillaume Apollinaiem oraz malarzami: Derain'em, Braquetem i Matissem.

Pierwsze swoje kubistyczne obrazy malował w latach od 1906 do 1907. W roku 1917, w Rzymie projektował dekoracje i kostiumy do baletu Jeana Cocteau „Parada”, do muzyki Erica Satie. Balet ten wystawiono w teatrze „Châtelet”. Picasso był długi czas dyrektorem muzeum „Prado” w Madrycie.

Te kilkanaście linijek zawierają w wielkim skrócie życie Picassa do roku 1939. Południowy temperament, atmosfera lat początku dwudziestego wieku i Paryża,

godziny spędzone między bistro i pracownią, nie tylko były najlepszą pożywką dla talentu Picassa, lecz pozwoliły mu spotkać się z narodziłym w 1907 roku kubizmem, doprowadzając go dziś do zupełnie nowych odkryć w malarstwie, które nazwałbym: „malarstwem destrukcyjno-dynamicznym”.

Bez względu na to, jakie uczucia wywołuje dzisiejsza twórczość malarska Picassa (najczęściej: strachu i nawet obrzydzenia), jest to niezwykle silna indywidualność, nie licząca się z żadnymi skrupułami, a tym bardziej z odbiorcami jego dzieł, które zresztą za fantastyczne sumy, starannie zapakowane, zakupione przez Amerykanów, jadą do Nowego Yorku, by tam stać się największą sensacją powojenną.

W roku 1928 namalował obraz pt. „Dwie nagie kobiety”, który był już wtedy o tysiące mil odległy od „akademizmu”, a jeszcze wcześniejszy, typowy dla kubizmu „Trzej muzykanci”, (z r. 1921) stał się początkiem drogi Picassa, u której końca znalazły się dzieła sprawiające tyle kłopotu krytykom i które wywołały lawiny protestów i namiętnych dyskusyj.

Picasso przed laty kpił sobie z publiczności i krytyków robiąc co pewien czas złośliwe figle. Pewnego razu w obrazie swoim, w jakimś pejzażu, wyciął okrągłą dziurę, zakleił kolorowym papierem i z tyłu ustawił zaświeconą latarkę. Miało to przedstawiać słońce. Figiel był tak sprytnie urządzony, że wielu ludzi zdumiewało się nad talentem autora, skoro umie namalować tak wspaniałe słońce, że sięje niemal rzeczywiste promienie na płótnie. Po zdemaskowaniu techniki figla i tak trudno było powiedzieć, czy są to tylko żarty z publiczności, czy „nowa sztuka”.

Dziś Picasso stał się przedmiotem zajad-

tych sporów, i nie schodzi ze szpalt pism poświęconych zagadnieniom sztuki i z łamów prasy codziennej. Sam obecnie zażywając pogodnej starości, zaciera zapewne ręce z zadowolenia, nie odpowiadając na listy, telefony i dzwonki, zabezpieczony materialnie, jako posiadacz pięciu domów. Niestety, — twierdzą krytycy — tylko on jeden może odpowiedzieć — „co to na miłość Boską wszystko znaczy”.

Picasso wywodzi się zasadniczo z „kubizmu”, kierunku o tyle ciekawego wśród rozmaitych „izmów”, że doczekał się wielu wyznawców i rozpraw ludzi stojących poza malarstwem. Między innymi



Pablo Picasso (Rys. T. K. Sowicki)

matematyk Princet, starając się zrozumieć i wytłumaczyć sobie deformację kształtów, tak określał w dyskusji swoje stanowisko:

„Wy kubiści, przedstawiajcie stół, tak jak go widzicie, posługując się perspektywą — trapezem. Ale co by się stało, gdybyście chcieli odtworzyć stół typowy. Musielibyście go wyprostować na płótnie waszym i pokazać go w prawdziwych prostokątnych formach, zamiast robić go trapezem, bo przecież stół naprawdę nie jest trapezem.

Jeśli stół na obrazie pokryty jest przedmiotami zdeformowanymi perspektywą, musicie je również wyprostować. Krag, przedstawiający szklany puchar, będzie musiał być z tego powodu przedstawiony jako wyraźne koło”.

Czy atuty atakujących kubizm były zbyt słabe, czy niezbyt wytrwale rzucane, dość, że stały się przysłowiowym grochem rzuconym o ścianę. Kubizm i malarstwo kubistyczne rozwijało się w gorącej atmosferze życia, jakby na marginesie wydarzeń

na świecie, a Picasso szedł, coraz dalej drogą odkryć i jego stosunek do ludzi najlepiej chyba obrazuje znana dziś scena, która stała się anegdotą: — kiedy Niemcy wkroczyli do Paryża, wyższy oficer Wehrmachtu wdarł się do pracowni Picassa i zapytał mrukliwie potrzącając na szereg obrazów odtwarzających w sztuce okrucieństwa wojny:

— Czy ty jesteś za to odpowiedzialny?

— Nie, to wy jesteście — odparł spokojnie Picasso.

W Londynie natomiast popularna stała się opinia jednego z recenzentów (*Evening Standard*), który mówi: „U Picassa tytuł nie ma nic wspólnego z tym co znajduje się na płótnie. Kiedy Van Dycke namalował Karola I. to był to napewno Karol I. Jeżeli poprosisz Picassa o portret, to zapłacisz 600 funtów i dostaniesz coś takiego, że twoi najbliżsi przyjaciele nie rozpoznają cię na nim”.

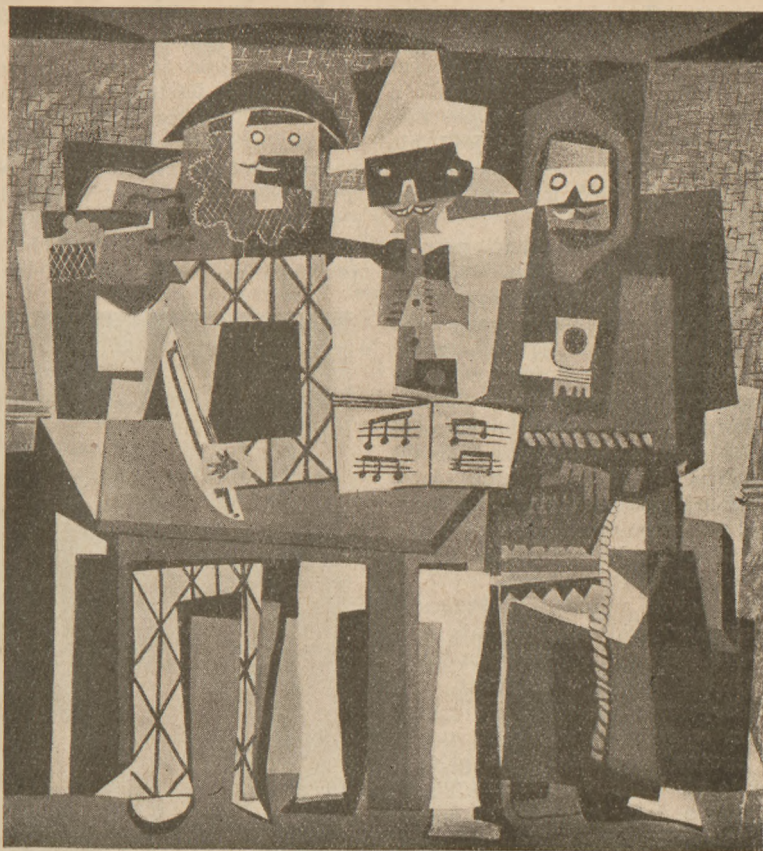
W pierwszym okresie był Picasso zwolennikiem „reprezentacjonizmu”, malował dość jasno, przejrzyście, z obiektem, który odtwarzał. Tuż przed wielką wojną, w drugim swym okresie malował wszystko na niebiesko, a potem wszedł w okres różu i brązów bardzo ciepłych. Umiarkowana opinia twierdziła nawet, że: „nie malować według tradycji wielkich mistrzów. Lecz Picasso nie byłby sobą, gdyby dał do zrozumienia, że przyjmuje to określenie.

Dziś posunięto się dalej, mówiąc: „maluje wstętnie, rzeczy wstęgne”.

Pablo powiedział natomiast, nadając swej sentencji znaczenie dogmatu: „Sztuka jest kłamstwem, które pozwala nam uświadomić sobie prawdę, ponieważ zmusza artystów do ekspresji w umownych granicach”. Przyjęło to wyznaczenie znów ostrożnie w obawie, czy nie kryje się za tym nowy figiel i nowe jakieś szyderstwo.

W „Victoria and Albert Museum” w Londynie wystawiono kilkanaście płócien Picassa i Matisa. Są to dzieła z ostatniego okresu po 39-tym roku. Gdy Matisse idzie w dalszym ciągu po swej linii malarskiej i konsekwentnie realizuje swoje koncepcje plastyczne, to Picasso burzy każdym płótnem wszystko, co jest ustalone w tym kraju, co jest niewzruszone, zmuszając zwiedzających do ogromnego wysiłku. Zabawne jest to, że każdy stara się zrozumieć te płótna, stojąc pozornie spokojnie przed dziełami, podczas gdy w środku przeżywa w sobie prywatny dramat, któremu na imię: nie nie rozumienie.

Córka „prerafaelisty” miss Hollman Hunt złożyła gorący protest. Równocześnie



Pablo Picasso: „Trzej muzykanci” (1921 r.)

na łamach „Evening Standard” toczy się dyskusja nad Picasssem pod znamienitym tytułem: „Picasso — geniusz czy oszust”. Prowadzą ją Roland Penrose, poważny i obiektywny krytyk sztuki i recenzent wymienionego pisma William Gaunt.

„Gaunt: Mam wrażenie, że te obrazy, gdy na nie patrzę, są silnie destruktywne. Rozbijają w szczyłki naturę.

Penrose: Możliwe, że tak jest, lecz elementy konstruktywne zawsze niosą ze sobą siły destruktywne stając się w rezultacie tylko pewną sumą destruktywnych czynników.

Picasso jest wrogiem muzeów i wcale nie przeczy wartości sztuki z przeszłości, lecz wierzy tylko w jej egzystencję w okresie obecnym, teraźniejszym.

G.: Bezpośredni atak na kulturę to nie tylko rozbijanie formy i natury. Picasso wynalazł nowe formy barbarzyństwa.

P.: Przed przyjściem Picassa i jego kompanów sztuka mogła umrzeć na uwiad slarczy. Konieczna była rewolucja podstawowa.

Jest to powrót do natury idący dalej niż impresjonizm, jest to coś w sensie rozbijania atomów w sztuce.

G.: Picasso wyszedł poza malarstwo.

P.: Do tej pory malarstwo było określone. Nowe formy Picassa prowadzą do zebrania resztek po malarstwie i łączą zwyczaje człowieka jaskiniowego z począ. Picasso bierze obiekt i przedstawia go w oryginalnej, uderzającej wizji. Nie powinien się dziwić, że pomiędzy innymi może być i chęć wykpienia obiektu. Picasso postanowił nam dać nową wizję i dlatego uważa, że konieczne jest częste, gwałtowne zniszczenie idei przeszłości”.

Dla przykładu cytuję uwagi nad obrazem „Odaliska” (wystawionego w Londynie pod tytułem „Kobieta z mandoliną”).

„Zamiast pięknej, wschodniej niewolnicy w otoczeniu przepychu, Picasso, który zawsze niszczy piękno jako niezadawalające go, — widzi ją, jako miodowo kolorowaną łacę pustyni. Dobrze znane kobiece kształty zostały odrzucone i przedestylowane w zupełnie nowe, określone kształty,

które żyją same przez się i wnoszą nowe skojarzenia. Wschodni sen został przekształcony w bardziej „domowe”, a tym samym w bardziej fantastyczne formy”.

Gamut dodaje: „W tym obrazie jest manifestacyjne wykrzywianie, które, jeśli nie wywoła konfliktu dobra i zła, to co najmniej sugeruje nienawiść do wszystkiego co naturalne.

Eric Newton w „Picture Post” posuwa się jeszcze dalej, pisząc: „Wiele z tych obrazów są jak eksplozje. Te nie są piękne. Jedne z nich są ponure, wymęczone, dziko dynamiczne, niektóre mają w sobie wściekłą, nieopanowaną radość.

Dzieją się rzeczy niesamowite. Podłoga wzdyma się jak fala poza fotelem na biegunach, świecznik wydaje się, że ma w sobie diabła dynamizmu, który łączy się z dzbankiem i wazą, czyniąc je pełnymi gestykulacji. Każdy obraz ma wysokie elektryczne napięcie. Woltaż zbliża się do kompletnego zrujnowania obrazu”.

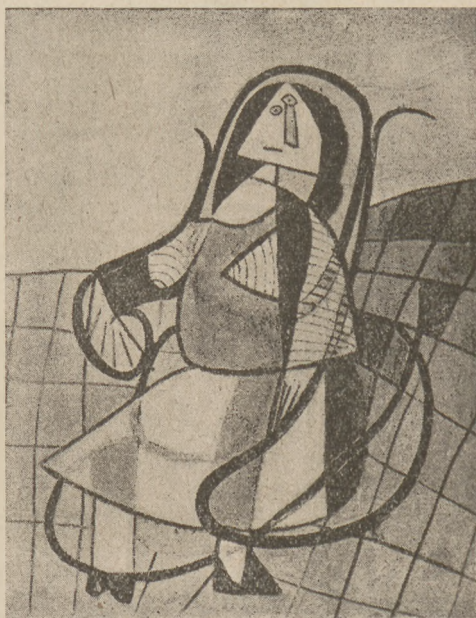
Gdzie leży prawda wśród tych krańcowo różnych punktów widzenia — nie czas jeszcze określać. Picasso istotnie dochodzi do niespotykanych dotąd osiągnięć w sztuce. Picasso wcale nie martwi się tym, że w żadnym szanującym się domu angielskim nie można powiesić jego płócien, gdyż byłoby to niesłychanym „shockingiem” — wystarcza mu, jeśli Ameryka kupuje za zawrotne sumy jego dzieła, a wystawiając je, może znowu rozpętać burzę dokoła siebie, sam chroniąc się w swym studio i patrząc na efekt z daleka.

W obrazach Picassa zerwane zostały prawie wszystkie więzy, wyłanane wszystkie zapory. Pozostała tylko jedna: prostokątna forma płótna. Nie jest wykluczone, że Picasso zacznie malować na takich płaszczyznach jak owal, stożek, spirala, wycinek koła lub gwiazda. Elementy, którymi operuje, istotnie są w rękach innego niebezpiecznym materiałem. Jest to jakby malarstwo pirotechniczne. Operowanie dynamitem tak w formie, kolorze, jak i w temacie. Przykładem może być obraz taki: kobieta ma na głowie rozrastającej się w połamisk śledzia, cytrynę i widelec. Twarz wyciągnięta grubą kreską, wypełniona kolorem po brzegi jak oliwa, przeczy elementarnym pojęciom o twarzy ludzkiej. Nos, oczy, usła — przemieszczone karykaturalnie, wydaje się, że płótno jest pod prądem wysokiego napięcia i że lada chwila rozleci na drobne kawałki w akompaniamencie głośniejszej detonacji.

Ciekawe jest, że równocześnie w Ameryce wystawia obrazy inny malarz, nazwiskiem Dali, który w komentarzu do swych obrazów pisze: „Namalowałem portret

swojej żony ze świeżymi kotletami na ramionach, oznacza to bowiem, że w tym czasie chciałem ją pożreć z miłości”. — Można i tak, jeżeli się ktoś uprze.

Wstrząs, jaki przeszedł świat w ostatniej wojnie, był dość silny, by wprowadzić we wszystkich przejawach nowe, niespotykane dotąd elementy. Bez wątpienia odkrycie energii atomowej, a raczej jej wyzwolenie, (jak dotąd tylko w celach zniszczenia) prowadzi do fantastycznych wyników wy-



Pablo Picasso:

„Kobieta w fotelu na biegunach” (1945 r.)

wracających dotychczasowe pojęcia o życiu na naszym globie. Musiało się to stać i w malarstwie. Zrobił to Picasso będąc już w poważnym wieku, zrobił to bez żenady i oglądania się na opinię otoczenia.

Co będzie dalej? Jeżeli powstanie muzyka, której kto wie czy narodziny już się nie odbywają w doprowadzonym do absurdu ryku saksofonu i łomotu jazzu, kto wie, czy taniec nie stanie się miotaniem się z szybkością iskry elektrycznej, jak w „jitterbugu”. Literatura będzie musiała chyba wynaleźć nowy język, składający się z nowych zupełnie liter.

Istnieje tylko mała obawa, że rozpętanie tych sił może być tak wielkie, że nie będzie możliwości na utrzymanie ich w ryzach.

Być może, że nastąpi wtedy eksplozja kuli ziemskiej.

Widowisko będzie chyba godne ujrzenia, lecz czy konieczne? T. K. Sowicki

Tak być musi!

O tym, jak jednolicie przejawia się dusza pewnej zbiorowości żołnierskiej w poezji i jak głębokie bywają te przejawy, im bardziej zbliżamy się do wyższych rejonów sztuki pisarskiej — przekonać się można przykładowo na ostatnio wydanej w „Bibliotece Orła Białego” „Antologii walki” opracowanej przez Jana Bielatowicza. Jest to trzeci z rzędu tego rodzaju zbiór wierszy poetów — żołnierzy. Pojawia się on po „Poezji Kanpackiej” i „Azji i Afryce” i daje szczególną sposobność do refleksji związanych z troską o nasz dorobek literacki na wygnaniu.

Ograniczymy się tu raczej do uwag marginesowych, nie bezpośrednio związanych z czystą wartością estetyczną zebranych próbek twórczości. Bo przecież od razu trzeba sobie zdać sprawę, że żadne z zestawień kilku wierszy nie stanowi dostatecznej podstawy dla oceny dorobku artystycznego pisarza-poety, czy też dla skreślenia osobistego profilu duchowego samego autora. Zaledwie pozwala uchwycić jakiś jego przekrój, poryw, gest, uśmiech czy grymas.

Nawet zestawienie utworów wszystkich zebranych poetów, na ogół reprezentowanych w homeopatycznych dawkach, nie może dać dokładnego perspektywnego obrazu całości. Choć niewątpliwie tu już można łatwiej zdobyć się na wyższy stopień uogólnienia, aniżeli w stosunku do poszczególnego autora. To uogólnienie właśnie nazywamy przejawem zbiorowej duszy środowiska.

Wydaje się w każdym razie, że autor „Antologii” nie pominął żadnego z drukowanych już poetów. Wszyscy, którzy znaleźli się w tym tomiku, mieli okazję już się wykazać. Można by się więc zastanowić tylko nad tym, czy to jest wystarczające kryterium dla drukowania wszystkich zebranych utworów. Z całym przekonaniem gotowi byłibyśmy raczej dać odpowiedź pozytywną zwłaszcza w odniesieniu do tego rodzaju antologii. To jest, jeśli ona ma być wyrazem nieelitarnych szczytów, nie koterii, nie grupy tak czy inaczej zabarwionej, ale jeśli ma być manifestacją pewnego środowiska, a zwłaszcza w tym stopniu zestrojonego przez wspólne przeżycia zespołu pisarskiego, jakim są poeci 2. Korpusu.

Piszącemu te słowa zestawienie autorów w „Antologii” może być szczególnie sympatyczne, choćby z tego powodu, że to są

naogół koledzy „po służbie i po drużbie” — pisarskiej i wojskowej. A wówczas ani nadmiar ich, ani zbytnia różnorodność poziomów nie budzi odruchu ilościowego przesytu czy jakościowej niechęci.

Raczej przeciwnie, odczuwa się tu ilościowe nienasycenie z powodu nieobecności tych, którzy się dotychczas nie zdołali wykazać a przecież poczuwali się do pisanja. O tych też wypadałoby się raz upomnieć. Bo te nie wyrażone publicznie myśli czy tęsknoty, niewątpliwie czasem bardzo nieporadne lub nawet groteskowe, mogą mieć dla charakterystyki środowiska też bardzo duże socjologiczne znaczenie. Byłyby to swego rodzaju pamiętniki żołnierskie, które postawić by można gdzieś obok odgrzebywanych przed wojną pamiętników chłopów i robotników.

Ale to już może się wydać punktem widzenia dość indywidualnym, daleko idącym, odosobnionym i nierealnym. Trudności powiedzmy redakcyjne i braki środków technicznych, w rodzaju papieru, mogą nie pozwalać na rozbicie tego rodzaju eksperymentów. Zresztą są wydawnictwa, w rodzaju wielkich albumów „Sitwy”, które trochę w odmienny sposób, ale podobne zadanie spełniają. Poza tym częściowym wyjątkiem — dalej trzeba będzie poprzestać na trochę obłudnym stanowisku, iż to, co nie wzniosło się na wyższy poziom wyrazu literackiego — w ogóle nie istnieje. Zostaje zwałone z nóg jednym słowem — obuchem: g r a f o m a n i a .

Omawiając pracę Jana Bielatowicza, jako autora „Antologii walki” pt. „Nasze granice w Monte Cassino” (Rzym 1945, str. 206 i 2 nl.) nie czujemy się w pełni powołani do sądzenia jej z punktu widzenia — powiedzmy — autonomicznych mierników poezji nowoczesnej. Chcemy tu raczej ograniczyć się do uprzątnienia sobie i czytelnikom ogólnego charakteru tego wydawnictwa i zestawionych pozycji poszczególnych autorów. W tym zakresie należy przede wszystkim zdać sobie sprawę, iż obejmuje ona trzy części dość odmiennie, powiązane ze sobą tylko pewną ideą. Wszystko to znów spięte jest klamrą wstępu autora antologii pt.: „Wojenna poezja polska” może trochę za szeroką do opasującej wszystko... nici — brak mi właściwszego porównania — ideowej.

Pierwsza część to utwory poetów jak J. Wybicki i C. Godebski sprzed półtora

wieku ujęte pod wspólnym, tytułem „Jeszcze Polska nie umarła”, druga to — poetów, którzy nie uczestniczyli w walkach w ogóle lub tylko w ostatniej kampanii włoskiej, zebrane razem pt.: „Przez via Appia przeszedł piechota” wreszcie trzecia, to poezje grupy żołnierzy 2. Korpusu, którzy jeśli nie całą wojnę, to tę kampanię ostatnią prawie wszyscy przeżyli w linii. Całość opasująca „nicią” jest związek z tematyką walk Polaków na półwyspie Apenińskim. Rozpiętość czasowa i terenowa, jeśli chodzi o epokę życia i miejsce pobytu poszczególnych autorów, jest więc wcale duża. Autor antologii stara się i tę rozpiętość wziąć pod uwagę w swym pełnym entuzjazmu wstępie poświęconym całej współczesnej poezji polskiej na wygnaniu, nie pomijając nawiązań pośrednio i do poezji powstającej w Kraju.

Zestawiając twórczość poszczególnych tych grup dojść można by do różnych przeciwstawień: młodych i starych, wyrobionych i niewyrobionych itd. Przechodząc nad tymi przeciwstawieniami dziś do porządku dziennego, chcielibyśmy w nich widzieć nie tylko to, co za ładnym sformułowaniem Terleckiego nazwalibyśmy objawem „lirycznej koniunktury”, ale również i przede wszystkim objaw żywotności literatury pięknej, jako sztuki a poezji, jako żywiołu twórczego, wolnego i niekoniumkuralnego.

Tematyczność zabranych wierszy jest w tym tomiku wydany pod wezwaniem „Antologia walki” nieunikniona. Ten temat najistotniej wiąże poszczególnych poetów-żołnierzy 2. Korpusu, dziś przeważnie już oficerów. Dlatego też jest to prawdziwa poezja żołnierska, z walki frontowej wyrosła, „skromna, bez korzyści i prawdziwa”, jak to o niej można by powiedzieć, tym razem posługując się wyrażeniem Jana Lechonia. Pisarzom godnie towarzyszy grupa 12 rysowników, których 17-tu pracami Bielatowicz okrasil książkę w miarę umiejętności, z jaką wykorzystano rozporządzone środki techniczne, drukarskie i wydawnicze.

Poza samą sposobnością do obcowania z duchem poezji w tym tomie zawartej, a formułującej stosunek Polaków do walki, cieszyć nas może szczególnie jeden fakt. Mianowicie, że z tej dobieranej antologii przeziara nie jakieś tromladrackie hurra na rzecz karabinu, konia i szabelki, ale męskie i tragiczne „tak być musi”. Prześledźmy, lub tylko spróbujmy prześledzić tę okrwawioną uie myśli na całej przestrzeni tomiku poprzestając na krótkich próbkach

poszczególnych poetów. Ciekawe, jaki to nam da obraz.

„Pozwól nam jeszcze, niech każdy się przyczni do tej, rozpacz i skrytej słabości” („Inter arma” — K. Wierzyńskiego).

„To nie są wiersze, poematy i polonezy karmazynów...”

„Dłatego nie ma w tym fantazji, to nie poezja i dramaty!”...

„Wystarczy zdjąć z nich znak symboli, jak okiennice z okien domu.

A ujrzyś wszystko, co cię boli,

Co kochasz, pieścisz po kryjomu”

(„Biblia Polska” — legoż).

Tak chyba być musi tam, gdzie życie staje się poezją.

I dopiero w tym kontekście nabierają znaczenia „Marsz Drugiego Korpusu” i inne wiersze Jana Lechonia, „Znak” Aleksandra Janty czy nawet W. Broniewskiego „Monte Cassino” o deklamacyjnym poddźwięku — w obliczu takiej „Chwały zwyciężcom” Jana Roztworowskiego z jego wyznaniem:

„I nie było słów wielkich, które wiatr rozmiata...”

Jak się ten nurt myśli przelamuje u poetów 2. Korpusu? Zdaje się, że tak: Najpierw w trochę nieporadne i łaskliwe (łaskne i łkiwe) wiersze J. Bazarewskiego. W wyszukane liryki opisowe J. Bielatowicza, w których:

„Wszystko jest inne, a z nami jest tylko pieśń ta sama...”

(„Nie szumcie wierzby nam”).

We wspomnieniu J. Buźniewskiego, w których „splata się mowa” („Zeby się unieść pieśnią). Aż tryśnie jako przekun-sztowne „refleksy w błocie” (Podróż przez jesień”) B. Kobrzyńskiego:

„Ktoż bo się nie da pieśni zawieść”

„gdzieś ponad krawędź snu i jawy?”

(„Śmierć słowika”), bo

„Z metryką zgonu w czas narodzin
złożeni jak w kolebkę — w grób,
jesleśmy stamtąd śmiercią młodzie,
życie nas wcale nie obchodzi
jak niedowiarka z duszą ślub”

(„Nokturn”).

Mniej forma, a zdecydowanie uderza u Artura Międzyrzeckiego: „Jeśli nie można światła rozbroić, wyboru nie ma” („Maj uchodźczy”) i „Wiem, czas jest wojny — nie wierszy” („Śpiewaj mi ziemio”).

Czy znów ironiczne akcenty u Henryka Mirzwińskiego, lat dwudziestu kilku:

„Idziemy pod balem premjerzy,
z obliczem czystym i dumnym
śmieszni, uparci żołnierze
prawd nierozumnych”

(„Modlitwa Krymska”).



„Piazza Argentina” w Rzymie (Rys. A. Werner)

Nie dziwne więc jest zażenowanie Beaty Obertyńskiej „Jakże ma dzisiaj wiersze pisać, Generale?” („Wiersz do Generała Andersa”)... — „...ja przecież jestem świerszcz...”, gdy wojna „...z krwi ręce w mokre brawy wylarla...”

(„Mam-ja wojna”)

Albo retoryka Jana Olechowskiego: „Jakim was wierszem żegnać, pieśnią nieudolną...” „O towarzysze broni, nam płakać nie wolno...” („Na polu bitwy”); „Dziś wszystkie słowa są puste” („Gdy bijesz w mury Ankon”) a „W miast zgrzytających kłębach mroczne czekają lawirny” („Elegia o żołnierzu tulaczu”).

Aż znów wychyli się mądrze dowcipny, zaskakujący, wręcz teatralny Tadeusz Sowieki, gdy pisze:

„...słychać, jak bije serca zła artyleria —
ogień głuchy, nekujący”.

(„Kwadera”)

gdy dalej wzywa:

„Widowni Europy ukaż, jak w finale
Krew zmywa hańbę ludzką i przebacza
winy! —

Patrz: aktor wojny na kolumnie słaże,
Czekając, aż ogarnie go ciemność kurliny”.

(„Italia Madra”)

i gdy nadto pisze:

„Na Cassina przesunąć nam linię Curzona”
lub „Ratunku! — Róże za burlą!”

(„Dziennik pokładowy Betelgeuse”)

Antologię zamykają wiersze o elegijnym
nastroju W. Szyfera:

„My modlić będziemy się bojem,
my kołędą świętego konania
będziemy kreślić drogę

nad ukradzioną Wisłę”

(„Kołęda Kresowej”)

czy wiersz J. Wedowa o tak poloczystej
obrazowości, w którym:

„Serce biją dziś walką i zemstą i gniewem”

(„Wiosna w Apeninach”)

z czym znówu kontrastują poezje J. Żywiny
o raczej szorstkiej kunsztowności, zazwyczaj
bardziej norwidowskie, gdzie

„W zmieszanych szuka się zdaniach
prostszych wyrazów i dźwięków,
tak, jak przed bitwą w nadzranu
bagnetu szuka się ręką...”

(„Wojenka”)

Nie rozwijając swych wątpliwości co do „ściśłości” zestawienia statystycznego, wspomnianego we wstępie, a dotyczącego „kolejności” wysprzedawania poszczególnych wydawnictw „Biblioteki Orła Białego”, chcemy podkreślić fakt bezsporny. Mianowicie, że dotychczasowe nakłady poezji cieszyły się wielkim powodzeniem, rozchodząc się szybko i wcale gruntownie. Z tego wniosek bardzo pouczający, gdyż świadczy to, iż czytelnictwo poezji jest w Korpusie bardzo żywe, że najkunsztowniejsza forma literacka mowy wiązanej jest bardzo pożądana przez czytelników-żołnierzy, cokolwiek by głosili urażeni tym faktem „krytycy” i zwiastuni przyszłego panowania reportażu, czy faktomontażu w literaturze powojennej. Zjawisko tego powodzenia poezji uważamy za dobrą wróżbę dla całej naszej przyszłej literatury, a zwłaszcza dla prawdziwie pięknej prozy.

Pen

Dzionek

Ignacemu Matuszewskiemu

7-go września 1943 w Warszawie.

Jest ranek, za kwadrans dziewiąta. Córka Elżbieta skończyła sprzątanie pokoju i zamierza się myć, ale sposób mycia jest tak niewygodny, że przedtem należy odpocząć. Siada w głębokim, błękitnym fotelu, w puchowym gnieździe z dawnych, dobrych lat, zapala papierosa i patrzy na swoje dzieło. Istotnie, posadzka jak lustro, szyby lśnią pod tulleem firanek, zeszpeczonych tylko rulonami czarnego papieru, zwiniętymi jak można najwyżej. Tych kilka pięknych mahoni i jesionów, ocalałych po wrześniu 39, wygląda jednak ładnie, chociaż pokój jest sypialnią, stołowym, spiżarnią i łazienką jednocześnie. Woreczek cukru za jednym fotelem, woreczek kaszy za drugim, kawał boczku na gwoździu za kredensem, baniak nafty za szafą, słoik powideł na razie w piecu, bo jeszcze się nie pali, zapas drzewa za piecem. Ale wszystko szczęśliwie ukryte. Są dwa tapczany, stół, dużo książek, kwiaty. Tylko umywalnia, psiakrew, za sekretarę! Za muzealną, empirową sekretarę ze złotej gruszy i czeczoty, strojonej w napoleońskie orły z brązu, w wianeczki i galeryjkę. Antyczne cacko stoi figlarnie bokiem, a za nim, niewidzialne oczom gości — kulisy życia: miska na taborecie, wiadro pod koronkową serwetą, szczotka, śmietniczka, dwa pudełka z pastą. Do butów, do podłogi i — to trzecie. W tym trzecim, większym — dwie cenne bransolety po matce, włopione zręcznie w pastę. Nie jedyne to kulisy. W rogu kredensu słoiczek ze smalcem. W nim to właśnie, na dnie, złota moneta na czarną godzinę. Dziesięć dolarów — dziesięć lat więzienia. W apteczce, w proszkach salolu, jeden opłatek cięższy: to pamiątkowy pierścionek. Są też inne kulisy, wszystko jak u ludzi: w wydrażonym wałku od ciasta — ostatni czwartkowy „Biuletyn”. A w kącie pod szafą — coś za obrzydliwość w tym łazie, czystości i lśnieniu — brudna ścierka, bardzo brudna. Nie ruszać tej ścierki! Boże, daj, żeby nigdy nie ruszyli tej ścierki!

Ale Niemcy lubią czystość, może się będą brzydzili. „Polnische Wirtschaft”. Tak. Inaczej — śmierć. Wszystko jak u ludzi.

Wysoko, wysoko podniesiona roleta jednego z trzech ogromnych okien. Okna na Pole Mokotowskie — słońce — słońce — zielono — zielono — dawniej wyścigi i lotnisko, teraz działki warzywne, działki, działki do horyzontu. Wrzesień, słoneczniki, nagietki, wieczorami maciejka pachnie jak na wsi. Elżbieta i Ewa, matka i córka kochają ten widok. Wprost od okna, tylko za jezdnią biegnie wśród działek oszczędna, wąziutka ścieżyna, daleka jak myśl, prosta jak tęsknota. Chwyta oczy, ile razy podejść do okna. Aż ku Alei Niepodległości. W przyszłość. Codzienna turystyka oczu.

Wysoko podniesiona roleta. Czy aby nigdy nie spuszcza tej rolety? Czy nigdy nie znajdują? Chryście, bo gdyby! W rąbku rolety misterny rulonik ciemnoczerwonej bibułki, a na nim pseudonimy, numery, daty, wykształcenie, przydziały. Jedenaście pozycji, jak kazano. W jednym rąbku ewidencja całego oddziału Ewy, w drugim — Elżbiety. Nazwisk nie ma, ale cóż to pomoże? **Biją mocno.**

— Czy potrafię nie wydać? — myśli Elżbieta. — A córka? Fala miłości i rozpacz chwyta za gardło wilczą łapą, jak codzień, jak co chwila, kiedy myśli o Ewie. Szafirowe oczy, przepyszne brwi, brązowe loki, maleńkie jaskrawe usta, nigdy nie tknięte szminką. Mocne ciało, rosłe, opalone, sportowe. Bić? Jezu!

— „No, matka, nie histeryzuj, śmiej się z tego. Nie masz pojęcia, jakie te Szkopy głupie. Mówię ci”. — Elżbieta słyszy to co dzieje. A potem: „No, Mamussia... Mamussienka... Cicho, cicho”. — I puszysty łeb ociera się o ramię. — „Ukręć mi lepiej żółtko z cukrem. Ukręcisz?” — „Ukręć”.

Ale coż z tego? Elżbieta wie, że dziecko kiedyś całą noc czytało przy świeczce „Kamienie na szaniec” i że wszystko zaczęło się właśnie od tej książki. Sama jej dała. Teraz ma. Dziewczyna znika o niebywałych porach. Coś nosi, coś chowa.

— Co Ty robisz, Kocie?
 — Właśnie, że nic nie robię.
 — Ty? Ty nic nie robisz? Nie szkolisz swoich dziewcząt? Nie zbierasz opatrunków na Powstanie?

— To kłajster. Powinnam iść do sanitariatu dywersji. I pójść.

Papieros się wypalił, Elżbieta nie zauważyła. Jest cała spocona. Czyżby się tak zmęczyła sprzątaniem? No, trzeba się myć.



(Rys. K. Domańska)

Nalewa wody do miski za sekretarą. Myśli się gonić: trzeba pojsć do meliny, zabrać białe-czerwone opaski i przenieść do składu broni. Córce nie trzeba mówić, bo ofiaruje swoje towarzystwo... Potem trzeba kupić ciastek, bo to przecież dziś Ewy urodziny... A o piątą tutaj będzie przysięga... Zaraz, ileż osób przyjdzie na przysięgę?... Trzy-nastcie. A ile może przyjść gości wieczorem? Szwagier Tadeusz, jego żona, siostra i dwoje dorosłych dzieci. Sama rodzina, bo obca młodzież proszona na niedzielę. Trzeba kupić siedem ciastek. A może dziecięć? No, pozwólmy sobie raz na dziesięć... Zimna ta woda...

Ba — bach! Zadrzały szyby. Wściekły huk. Bomba, czy ki diabeł? Nie było alarmu. Ręcznik, suknia — prędzej! A córka na wykładzie! Nawet nie wiadomo gdzie. Nie, jeszcze na ulicy, dopiero wyszła.

Elżbieta wychyla się oknem. Przez Polną biegnie tłum. Pewnie coś się stało na Placu Unii. Strzały. Krzyki. Tumult.

— Proszę Pani! Jakieś nieszczęście. A gdzie nasza panienka? — to służąca gospo-

darzy wpadła do pokoju i razem z Elżbietą wisi w oknie. Przepada za Małą.

— Nie wiem. Na wykładzie. Nic nie wiem, Tolciu kochanie... — Minuty za minutami. Wreszcie trzykrotne znajome stukanie do frontowych drzwi. Puk, puk, puk. Jest! Gospośia się uspokaja i idzie do kuchni.

— Wróciłaś! Chwała Bogu! Co tam się stało?

— Nic. Jakiś zamach. Nie można przejść przez Marszałkowską. Tramwaj się pali na rogu Litewskiej. Heca.

— Odpocznij.

— Chyba, że tak. Histologia przepadła. Cho... lender! Jak się zaczęło na moje urodziny, to już będzie cały rok.

— Nie pleć.

— Zobaczysz.

(Miała rację. Tak było: Było gorzej. A potem — jeszcze gorzej).

— Patrz! — woła Elżbieta od okna. Ewa podbiega.

Ulica już pusta, tylko środkiem jezdni dwóch Niemców prowadzi Polaka. Oni w mundurach, rewolwery do strzału, on — młodziutki i pobladły — w jasnej kurtce i białej czapce. Najwyraźniej prowadzą w stronę Alei Szucha, do Gestapo. Nasz! Złapali. Będą bić, zabijają. Taki sam on czyjś, jak ta tutaj — moja. Elżbieta instynktownie chwyciła rękę Ewy.

— Puść! — buntuje się młodość. Żąda własnego prawa do śmierci.

Ewa chodzi po pokoju, jak zwierzę po klatce. Piękny, duży, brązowy zwierz leśny o szafirowych oczach. Urodziny! A tamta matka jeszcze nie wie.

Czego w Niemczech najbardziej nienawidzono — tam — wtedy — w Warszawie? Czerwonych, popatdowanych karków. Aż ręka tęskniła do cyngla, a choćby do noża. Taki właśnie kark ma ten Niemiec, który pod oknem prowadzi za łokieć bladego chłopca. Pierwsze piętro, dobrze widać.

Potem nie było nic, na ulicy uspokoiło się zupełnie. O jedenastej córka wyszła do szpitala, gdzie studenci tajnej medycyny mieli pokaz na internie a Elżbieta po te ciastka urodzinowe i do swojej meliny. Z Placu Unii skręciła na Puławską i w ulicę Narbutta, gdzie w małym sklepiu sprzedawano najtańsze słodycze. Po drodze już się dowiedziała co zaszło: na rogu Marszałkowskiej i Litewskiej był zamach na grubego Gestapowca, komendanta Pawiaka. Młody „żebrak” i „grajek” wyjął broń z pudełka od skrzypiec. Gestapowiec szedł sobie idyllicznie z rodziną na spacer. Padł. Ale wyskoczyli Niemcy z „Dziewiętnastki”. Osłona zamachowca rzuciła gra-

naty na niemiecki przedział tramwaju. Było trochę rannych. Grajek uciekł. Ale czemu prowadzili tego bladego chłopca z innej strony Polnej, od Politechniki? Jakaś druga sprawa, czy omyłka?

Elżbieta idzie w głąb ulicy Narbutta. Paczka z ciastkami dynda jej na palcu. Pomimo wszystko — polska jesień — nie ma rady — słońce! I jesienią są złote. Pomimo wszystko, czyżby naprawdę? Elżbieta kocha życie.

Co to? Skąd Tadek na ulicy o tej porze?

— Tadek? A ty tu skąd? Dlaczego nie w biurze?

To szwagier. Ale jak on wygląda? Twarz szara, wzrok dziki, suknia pługawa.

— Co się stało, Tadek?

— Przyszli po mnie do biura. Uciekłem przez kotłownię, telefonistka z dołu szepnęła mi w słuchawkę: uciekać!

Elżbieta od razu szływnieje rzeczowo.

— Idź zaraz do mojego mieszkania, bo twoje już napewno obstawione.

— Dzieci! Luska...

— Nie poradzisz. Może Bóg da. Idź, nie stercz na ulicy.

— Słuchaj — powiada Tadeusz. — O dwunastej przyjdzie do biura moja siostra z bibułą, jak co dzień i wypadnie prosto Niemcom w łapy. Ty musisz ją zawrócić.

Elżbieta patrzy na zegarek. Dwunasta za dziesięć.

— Już idę — mówi. — Bądź spokojny. Potem obie przyjdziemy na Polną, czekaj tam.

— Ale czy mnie wpuszczą do twego pokoju?

— Ja uprzedzę gospodarzy. Do widzenia.

Wciąż Elżbieta do meliny już nie skręca, tylko z pierwszego sklepu telefonuje do domu: „Państwo będą łaskawi pozwolić poczekać w moim pokoju temu panu, który przyjdzie za chwilę. To nie wólcęga, chociaż obdarły, to kuzyn, a nawet inżynier, doktor, profesor”. (Trzeba mówić wesoło, żeby w domu nie zmiarkowali. Przyzwolici ludzie, ale strachajły).

Teraz prędko przed biuro Tadeusza! Tam ostatni przystanek Dziewiątki. — Pętla. Elżbieta niby czeka na tramwaj. A jeśli się rozminą z Marią? Wreszcie z następnej Dziewiątki wysiada gruba, starsza pani z gospodarskim koszykiem, z którego sterczą marchewki i kapusta. Dobra gospodyni. Wszystko jak u ludzi.

— Wsiadaj z powrotem — mruczy cicho Elżbieta, przechodząc koło niej. — Jedź do mnie i nie znaj mnie. Tadeusz już na Polnej.

Zdziwione sporzenie, ale ani słowa. Maria zawróciła, wsiadła, pojechała. Po chwili jedzie Elżbieta.

I tak zaczęli się schodzić urodzinowi goście.

Tadeusz otworzył drzwi. — Nie mogłem się ciebie doczekać. Elżbieta! Na litość boską, przenieś telefon od gospodyni do przedpokoju, będę próbował dzwonić do moich sąsiadów, przecież nie nie wiem, co z rodziną. —

Dzwoni. Elżbieta i Maria słyszą, jak pyta w słuchawkę: „Już byli? Aha. Wzięli? Wzięli syna? Wzięli... Żonę zostawili? Aha.

Wraca do pokoju. Twarz ma ziemistą.

— Chłopak jest skończony — mówi.

Potem siada. Siedzi Elżbieta. Siedzi Maria. I nic. Bo cóż? Jak u ludzi.

A gdzie żona Tadeusza? Jak ją sprowadzić? Pod jej dom nie można podejść. Jeśli pójdzie do biura męża, wpadnie. A może będzie mądra i ucieknie do Elżbiety? Nagle wszystkim jednocześnie przychodzi do głowy: Maryśka!

Maryśka, córka Tadeuszów, wróci z pracy do domu, bo o niczym nie wie. Więc Elżbieta telefonuje z korytarza:

— Marysiu — mów spokojnie — przyjdź do mnie na obiad.

— Ależ ciociu, — odpowiada głosik — dziękuję, nie mogę, wszyscy wybieramy się do was wieczorem z życzeniami. Teraz muszę iść do domu.

— Marysiu — akcentuje Elżbieta dobitnie. — Słuchaj uważnie: przyjdź do mnie na—tych—miast—na—obiad. Nie—do—domu.

— Jezus Maria! — Słychać nieostrożny krzyk Maryśki — Już idę.

Elżbieta wraca do pokoju. Tadeusz wkłada palto.

— Ty dokąd?

— Do Gestapo. Niech mnie wezmą, a chłopca oddadzą.

— Idiota! Ciebie wezmą, chłopca nie oddadzą. Masz żonę i córkę. Siedz.

— Pójdę!

— Poczekaj, ktoś stuka, może żona.

Istotnie, żona. Przyjaciółka Elżbiety od dziecka. Uśmiecha się, wchodząc. Uśmiecha. Twarz z gipsu. Usta z gumy. Rozciąga tę gumę, rozciąga, rozciąga...

— Muszę być przynajmniej równie dzielna, jak mój syn — oświadcza, siadając.

Potem trochę opowiada. Chłopca wzięli w bieliznię, prosto z łazienki. Robili rewizję, nie znaleźli nic. Pytali o ojca, owszem, wspominali nawet, że byli już w biurze, ale go nie zastali. Dlatego tam nie poszła. Obiecali wrócić.

— Prosiłam: weźcie i mnie, ale nie chcieli.

— Maryśka zaraz tu przyjdzie — odzywa się Elżbieta po chwili.

— Dziękuję.

Za pół godziny wpada Maryśka. Nigdy nie słyszeli takiego płaczu; (dopiero mieli usłyszeć w rok później). Wycie, zduszone, żeby nie spłoszyć obcych za ścianą. Chciała również biec do Gestapo na wymianę. Szalała. Musieli ją trzymać siłą.

Na to wszystko wchodzi Ewa. Co to? Urodzinowi goście, tak wcześnie? Ale co za twarze? I nikt nie składa życzeń...

Ewa inaczej zareagowała na wiadomość, niż jej kuzynka. Zakrzyknęła się od razu, jak przyszły chirurg. Radzić! Przede wszystkim sprawdzić dokąd chłopca zawieźli: na Pawiak, czy na Szucha? Potem posłać odzież. Potem spróbować nadać gryps...



(Rys. K. Domańska)

— Urodzaj na mądre dzieci — uśmiecha się ciepło Tadeusz.

— Ale co będzie z wami, Tadkowie? — myśli głośno Maria. — Nie macie już domu, ani rzeczy. Zamieszkacie u mnie, na Filtrowej.

— Tylko nie wszyscy kupą, Ciociu, bo to niebezpiecznie, strzyjek zostanie u nas — decyduje Ewa. — Będzie spał na fotelach. Tylko dziś będzie łaskaw wyjść stąd na godzinkę, od piątej do szóstej. Pospaceruje sobie po działkach.

Elżbieta podała obiad, to znaczy krupnik. Gmerali łyżkami w talerzach, jedni na cześć drugich. Potem wystawiła nareszcie te urodzinowe ciastka. Okna były otwarte. Nie rozmawiał nikt.

Nagle Tadeusz pyta niespokojnie: — Czy tu przed domem często stają samochody?

— Dlaczego pytasz?

— Bo właśnie jeden stanął.

Oho, to źle. Wszyscy wychylają się ostrożnie przez okno: duży otwarty samochód niemiecki stoi przed domem. Trzech gestapowców z karabinami do strzału idzie wprost w bramę.

— Po mnie — szepcze Tadeusz. — Trafili po nitce do kłębka, wezmą was wszystkich. Przebaczenie.

Zostały sekundy. Roleta! Ścierka! Gdzie chować? Jak chować? Za późno. Ewa chwyciła ścierkę spod szafy, wraz z zawartością i pędzi do kuchni. Tam skrzynia z węgiem, kubek ze śmieciami — szansa ratunku.

Stukanie do drzwi. Ale dość ciche, jakies nie niemieckie. Wszyscy stoją nieruchomo, jakby czekali na egzekucję. Elżbieta ołowianymi nogami podchodzi do drzwi. Już nie ma co, już nie nie warto, koniec.

Otwiera. W drzwiach śliczna buzia i uśmiech: panna Marta, rejonowa z A. K. Przychodzi uzgodnić godzinę dzisiejszej przysięgi, wiedząc, że w obiadowej porze obie panie są w domu.

— Uciekać, Gestapo! — szepcze Elżbieta. Wie, że Marta zawsze chodzi opakowana bibułą.

Gość śmignął schodami w górę.

Elżbieta zamyka drzwi. Wraca do pokoju. Siada. Czekają. Cisza. Nie przychodzi nikt.

— Proszę pani! — wsuwa się gospośa przez drzwi. — widziała pani? Szkopy poszli do oficyny, do mieszkania tego młodego Michalskiego, co go to prowadzili rano pod oknami, w białej czapinie, widziałam z balkonu. Już go nie wypuszczą w łapów, jak przyszli szukać w rzeczach. A jego matka na letniakach! On tu akuratnie mieszka w drugiej bramie kole nas, biedaczysko.

Tak skończył się obiad urodzinowy. Koło godziny czwartej wyszli goście, bezdomni i osieroceni. Tadeusz wróci wieczorem i zanocuje na fotelach.

A o piątej zebrano się trzynaście kobiet — znów urodziny posłużyły za pretekst wobec gospodarzy. Na otwartej sekretarce, która od tyłu kryła umywalkę, spoczął hebanowy krzyż, oprawny w srebro, pamiątka po przyjacielu, zabitym we wrześniu 39. Równy szereg kobiet stanął na hacznosc, każda po kolei zbliżała się do sekretary i powtarzała za Komendantką:

— „W obliczu Boga Najwyższego i Najświętszej Marii Panny, kładę rękę swą na ten święty Krzyż i przysięgam wierność Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej. Przysięgam stać na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli — walczyć...

Stanisława Kuszelewska

„Karpacka” wchodzi na odcinek

Gdy po trzech latach rozłąki z Europą znaleźliśmy się w końcu grudnia 1943 r. w Taranto, nikt z nas nie miał wątpliwości co do celu naszego przyjazdu do Italii. Wydany jeszcze we wrześniu tego roku rozkaz Naczelnego Wodza gen. Sosnkowskiego wyraźnie mówił, że pójdziemy z bronią w rękę „z ziemi włoskiej do polskiej”. A więc czeka nas znowu życie frontowe, z którym rozstaliśmy się w marcu 1942 r. na pustyni libijskiej.

Problem naszego wejścia do akcji nie był dla nikogo rzeczą tajną, tematem natomiast licznych rozmów i dyskusyj żołnierskich były: kwestia czasu, no i odcinka frontowego.

Po kilku latach pobytu na Środkowym Wschodzie, gdzie nie wiedzieliśmy co to zima europejska, spotkaliśmy się poraz pierwszy z przymrozkami. Potrzebowaliśmy czasu na zaklimatyzowanie się, stąd wniosek, że nasze wejście na odcinek może nastąpić mniej więcej za miesiąc, ale nie wcześniej. Mniej jasną była kwestia odcinka. Od dłuższego czasu nie słyszało się o nowych postępach terenowych aliantów i front wyraźnie począł kostnieć. Komunikaty radiowe stale mówiły o walkach patroli pod Ortoną, nad Sangro, nad Garigliano i wreszcie o nieznanym nam jeszcze Cassino. W ten sposób wiedzieliśmy coś niecoś o działaniach nad Adriatykiem i nad morzem Tyrreńskim, natomiast kompletną „*tabula rasa*” stanowił dla nas odcinek środkowy, wysokogórski, ciągnący się od Cassino, poprzez Isernię, do górnego biegu rzeki Sangro. Komunikaty nic o nim nie wspominały i do wykreślenia na mapie linii frontu biegnącej przez ten odcinek musieliśmy posługiwać się tylko przypuszczeniami. Intrygował nas wyraźnie ten odcinek, właśnie ze względu na swą tajemniczość. Pesymiści snuli ponure wersje o wyjątkowo ciężkich warunkach walki wśród śniegów i wysokich gór, optymiści znów pocieszali się, że jeśli komunikaty nic nie wspominają o walkach na tym odcinku, to znaczy, że musi to być odcinek z gatunku „spokojnych” o nader ograniczonej obopólnej działalności i dobra zaprawa do przyszłych walk, ale nie ponad to.

Najbliższych kilkanaście dni przyniosło nam ostateczną odpowiedź na pytanie, kiedy i gdzie pójdziemy.

Po krótkim pobycie pod Taranto ruszy-

liśmy na nowe m.p. w rejon Andria-Minervino-Canosa di Puglie. Tam dowiedzieliśmy się oficjalnie, że dalszym naszym etapem będzie złuzowanie Brytyjczyków właśnie na odcinku środkowym w rejonie źródeł rzek Volturno i Sangro. Wyjazd grupy kwaterunkowej na odcinek położył ostatecznie kropkę nad „i”.

Jako pierwsza jednostka 2 Korpusu („Żubry” przebywały wówczas jeszcze w Quassasinie gotując się do pójścia w nasze ślady), mamy wejść do akcji na nowym terenie operacyjnym. Zaszczęt to duży, ale i odpowiedzialność niemała, bo przecież „cały Korpus na nas patrzy”.

Nie bez emocji poczęliśmy po upływie dalszych kilku dni pakować nasze lary i penaty i wreszcie o świcie dnia 1 lutego 1944 r. długa kolumna naszych wozów ruszyła w drogę.

Wjechaliśmy na szosę Nr 16, słynną „Via Adriatica”, która w pół roku później miała nierozzerwalnie związać się z najpiękniejszymi kartami bojowymi naszego Korpusu. Poprzez Canosę i Cerignolę dotarliśmy do Foggii, gdzie, porzucając „szesnastkę”, ruszyliśmy na zachód, na kierunek Lucera-Vinchiatturo, a więc ku prowincji Molise. Wjechaliśmy w Apeniny.

Rankiem nastąpił dalszy ruch. Około południa, po minięciu nieludsko doświadczonej niedawnymi walkami Isernii, dotarliśmy do jakiegoś miasteczka, umocowanego na zboczu skalistego wzgórza niczem orle gniazdo. Napisy orientacyjne głoszą że miasteczka ta zwie się Forlì del Sannio i leży w prowincji Campobasso.

Jesteśmy na miejscu.

Pogoda opisuje. Mimo otaczających nas śniegów, nie odczuwamy wcale zimna. Na niebie ani jednej chmurki. Długa kolumna gęsto skupionych naszych wozów oczekujących na wjazd do miasteczka stanowi idealny cel dla ewentualnego nieprzyjacielskiego lotnika. Spoglądając na nią, my, stare „szczury pustyni”, odczuwamy niejaki niepokój w sercu, że za chwilę pojawi się na horyzoncie eskadra „Stukasów” i sprawi nam krwawy chrzest bojowy. Na szczęście obawy nasze okazują się płonne. Dobrze, libijskie czasy, kiedy to jako zasadę przyjmowało się, że każdy samolot na niebie to nieprzyjaciel (tak rzadko bowiem widywaliśmy własne aparaty), należą już do niepamiętnej przeszłości. Słynna

„Luftwaffe” nie ma tu już nic do powiedzenia, a fale samolotów jakie raz po raz przelatują nad nami, to tylko „Fortece” i „Liberatory”, ciągnące ze swych baz w Lecce i Foggii na Niemcy i północne Włochy.

Wjeżdżamy na rynek miasteczka. Pada komenda: „Z wozów”. Grupki ludności oglądają z zaciekawieniem nas, nowych przybyszów. Nie odczuwa się tutaj w niczym atmosfery frontu i walki. Życie zdaje się płynąć normalnym trybem, jak gdyby wojna w ogóle nie istniała.

Przywykli od lat do namiotów i ziemianek, dowiadujemy się, iż kwatrować mamy w domach, przy rodzinach włoskich. Czegoś podobnego jeszcze nie było. I to ma być front? Zdziwienie graniczy ze zdumieniem.

Dowiadujemy się dalej, że dwa bataliony brygady będą stały w miasteczkach położonych na samej linii frontu (Cerro di Volturno, Rionero, Castel di Sangro), wystawiając placówki na przedpolu. Trzeci batalion i dowództwo brygady pozostanie w Forli del Sannio. Po pewnym czasie batalion odwodowy zluzuje na odcinku jeden z batalionów, który z kolei przejdzie do Forli del Sannio i tak dalej, aż do przejścia na inny teren działań.

Zadanie nasze było następujące: trzymać przejęty po poprzednikach (Irlandczykach) odcinek, zaprawić się do warunków walki górskiej, utrzymać stałą styczność z nieprzyjacielem, poznać jego metody walki, morale i zadać mu możliwie jak największe straty.

Rozpoczęły się pierwsze emocje patrolowania, zasadzek i wypadów. Górowaliśmy wyrażnie nad nieprzyjacielem zarówno pod względem inicjatywy, jak i sukcesów. Udało się zasadki na patrole nieprzyjaciela i szereg spotkań, z których niewątpliwie najważniejszym był bój o stację kolejową w Alfedena — to piękne karty naszych walk na odcinku rzeki Sangro, skromne może, bo nie decydujące o losach ofensyw czy innych zamiarów na szczeblu operacyjnym, ale piękne, bo odzwierciedlające najlepsze cechy naszego żołnierza, a więc zapał, odwagę, inicjatywę, wytrwałość, znajomość walki i chęć walki. Nic więc dziwnego, że ze wszystkich spotkań wychodziliśmy zwycięsko, choć nie bez bolesnych strat, a w dowództwie brygady w Forli del Sannio raz po raz zaczęli pojawiać się jeńcy niemieccy, wywołując u mieszkańców, nie przywykłych do oglądania „Herrenvolku” w takich warunkach, zrozumiałą sensację. Widok jeńców, ubranych mizernie, żywionych kiepsko i rekrutujących się przeważnie ze starych

roczników, musiał działać dodatnio na naszych żołnierzy, dając im dowód, iż u nieprzyjaciela poczynają pojawiać się pierwsze znamiona słabości i klęski. Jakaż to satysfakcja za rok 1939, czy choćby nawet za Lubię, gdzie wróg święcił apogeum swych tryumfów i niemal pewny był wygranej wojny. Mimo jednak tych pierwszych objawów przegranej, wróg daleki jeszcze był od kapitulacji. Front włoski z kluczowym punktem Cassino trzymali Niemcy jeszcze bardzo silnie. Sytuacja na froncie rosyjskim również nie dawała im powodu do specjalnego niepokoju, a inwazja aliantów na Francję nie wyszła jeszcze poza biura planowań i studiów sztabów generalnych. Trzymając mocno odcinki obronne, nie zaniechał nieprzyjaciel i działań zaczepnych, do których nie omieszkął użyć dwóch najnowszych broni tej wojny: propagandy i dywersji. Zetknęliśmy się wkrótce z jedną i drugą.

W eterze obok dotychczasowych polskich audycji radiowych z Londynu, Jerozolimy i Cairo pojawiły się nowe... z tamtej strony frontu. Radiostacja niemiecka, „Wanda” poczęła wzorową polszczyzną i doskonale dobraną rodzimą muzyką nawoływać nas do powrotu „do domu”, czyli innymi słowy, do przechodzenia na stronę nieprzyjaciela.

Gorzej daleko było zwalczać dywersję, ponieważ w warunkach zimowych, w terenie górskim, przy dużym rozproszeniu naszych oddziałów na długim stosunkowo odcinku, przekroczenie linii frontu dla agentów faszystowsko-nazistowskich nie przedstawiało specjalnych trudności.

Trudne warunki służby, nieludzkie zimno, dające się szczególnie we znaki nam, przebywającym tyle lat w ciepłych krajach, niebezpieczeństwa walk, pierwsi polegli — to jedna strona medalu, ale mówiąc o pierwszych naszych walkach w Italii, nie sposób pominąć i drugiej strony, pogodnej i przyjemnej, dzięki której dziś po dwóch latach każdy z żyjących jeszcze uczestników walk nad Sangro mile wspomina owe czasy. Do niej należy przede wszystkim ciepłe i serdeczne ustosunkowanie się miejscowej ludności. Przyjęci na wstępie ze zrozumiałą rezerwą a nawet nieufnością (propaganda niemiecka zrobiła swoje), żołnierze polscy szybko zaskarbili sobie sympatię ludności włoskiej, stając się nieomal członkami rodzin, wśród których mieszkali. Wspólna niedola, religia, szczerość i otwartość, a nadto nasz umiar i takt, zapoczątkowały przyjaźń polsko-włoską, której wyniki obserwujemy jeszcze dziś.

Wiarostaw Sandelewski

SPIS TREŚCI

Wskazania		Str.	3
Walka trwa	Władysław Nalecz	»	4
Poprzez dymne zasłony	Tadeusz Krauczyk	»	6
Piosenka warszawskich krzyżowców	K. I. Gałczyński	»	10
Separatyzm azerbejdżański	Witold Rajkowski	»	10
Hitler - zbawca świata	Jan Malicki	»	13
Słowo gniewne	Artur Międzyrzecki	»	17
Naród Serbski w Drugiej Wojnie Światowej	S. Sokolowič	»	18
Daleki deszcz	Robinson Jeffers (Tłum. Kazi- mierz Sowiński)	»	21
Krew	Pawel de Laval	»	21
Wkład Goślickiego do teorii polityki	Władysław Stankiewicz	»	23
Miesiące w krainie absurdu	Tadeusz Zajączkowski	»	25
Gusła	Bronisław Przyłuski	»	27
W pracowni literatów polskich	Gustaw Herling—Grudziński		
	Jan Ostrowski		
	Artur Międzyrzecki	»	27
Panorama sztuki włoskiej	Carlo Verdiani	»	28
Czas	Beata Oberlyńska	»	34
Picasso - geniusz czy oszust?	T. K. Sowicki	»	35
Tak być musi	Pen	»	36
Dzionek	Stanisława Kuszelewska	»	42
„Karpacka” wchodzi na odcinek	Włodzisław Sandelewski	»	46

Okładka — Aleksander Werner

